



Barbara Dunlop



Rodzinny klejnot

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Większość ludzi przepada za weselami. Cole Erickson ich nienawidził.

Nie żeby miał coś przeciw radości i zabawie, czy w ogóle przeciwko szczęściu na wieki. Rzec w tym, że białe suknie, siedmiopiętrowe torty i eleganckie bukiety przypominały mu, że sprawił zawód pokoleniom Ericksonów i złamał wiele serc.

Dlatego gdy w kościele w Blue Earth Valley rozległy się dźwięki marsza weselnego i jego brat, Kyle, ruszył od ołtarza z właśnie poślubioną Katie, uśmiech Cole'a przygasł. Wcisnął do wewnętrznej kieszeni smokingu puste pudełeczko po obrączkach, podał ramię druźnie i ruszył za innymi do wyjścia.

Przed kościołem było gwarno. Zewsząd na młodą parę sypano ryż i konfetti. Wykrzykiwano życzenia i polewano nowożeńców szampanem. Ktoś wcisnął Cole'owi do ręki butelkę. Drużna Emily uwolniła się z jego uścisku i przyłączyła do szampańskiego szaleństwa.

Niespodziewanie tuż obok Cole'a stanęła babcia Erickson. Gestem ręki odmówiła przyjęcia butelki i syknęła przed siebie na drewniane schody garść konfetti.

- Dwieście dolarów ekstra za sprzątanie - rzuciła.

- Zdarza się tylko raz w życiu - powiedział Cole.

- O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać.

Cole od początku czuł, co się święci.

- Babciu - rzekł z wyrzutem. -Melanie była bardzo miła.

- Melanie była cudowna - przyznał.

- Ale rzuciłeś ją.

- Owszem. - Nie miało sensu spierać się z babcią. Kochał Melanie. Wszyscy ją kochali. Nie było w niej nawet cienia egoizmu. Każdy mężczyzna na ziemi byłby szczęśliwy, mając ją za żonę.

Problem w tym, że Cole był pełen egoizmu. Nie mógłby być mężem Melanie. Ani niczym. Nie nadawał się do tego. Nie potrafiłby zmienić swoich przyzwyczajęń. Nie umiałby znieść obcej osoby we własnym domu.

Mówiąc krótko, nie było żadnej możliwości, by w jakiegokolwiek przewidywalnej przyszłości się ożenił. A to oznaczało, że musiał się zmierzyć z poważnym problemem. Problemem, który miał już ponad dziewięćset lat.

- Nie jesteś coraz młodszy - powiedziała babcia.

- Też o tym myślałem. - Cole przyglądał się, jak Kyle i Katie wsiadają do limuzyny, która miała ich odwieźć na ranczo, gdzie zaplanowano przyjęcie weselne.

- Najwyższy czas - prychnęła babcia.

- Myślałem o tym, że „Piorun Północy” byłby doskonałym prezentem ślubnym dla Kyle'a i Katie.

Nawet w panującej dookoła wrzawie usłyszał mrozącą ciszę obok siebie. Doskonale wiedział, że pomysł, by średniowieczna brosza, rodzinny skarb, trafiła w ręce drugiego syna, był potworną herezją. Ale wydawało się to logiczne.

Cole wyprowadził się niedawno z domu rodzinnego i zamieszkał nieopodal, w chacie nad zatoką. Żeby Kyle i Katie nie czuli się skępowani. Wkrótce ich dzieci wypełnią cały dom i to Kyle stanie się patriarchą rodu Ericksonów, więc jemu należałoby przekazać rodzinną pamiątkę.

Goście weselni zaczęli się rozchodzić do swoich samochodów.

- Chcesz powiedzieć, że powinnam wyrzucić na śmietnik dziewięćsetletnią tradycję? - spytała babcia.

- Chcę powiedzieć, że właśnie powinnaś dotrzymać dziewięćsetletniej tradycji. Kyle i Katie będą mieli dzieci.

- Ty też.

- Nie, jeśli się nie ożenię.

- Ależ oczywiście, że się ożenisz.

- Babciu, mam trzydzieści trzy lata. Melanie była najprawdopodobniej moją najlepszą szansą. Daj broszę Katie.

- Ty jesteś najstarszy.

- Olaf III ustanowił tę regułę w roku 1075. Trochę się zmieniło od tamtej pory.

- Ważne sprawy się nie zmieniły.

- Obudź się. Powąchaj weselne kwiaty. Wchodzimy w dwudziesty pierwszy wiek. Nawet brytyjska rodzina królewska rozważa dopuszczenie dziewczynek do kolejki do tronu.

- Nie jesteśmy brytyjską rodziną królewską.

-I Bogu dzięki. Nie chciałbym mieć na sumieniu klejnotów koronnych.

Babcia zrobiła lekceważącą minę. Zaczęła schodzić ze schodów, a Cole automatycznie podążył za nią.

Ujęła go pod rękę.

- Tylko dlatego, że jesteś zbyt leniwy, by znaleźć sobie żonę...

- Leniwy?!

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, Cole'u Nathanielu Walkerze Erickson. Leniwy.

Cole z trudem pohamował uśmiech.

- Jeszcze jeden powód, żeby nie powierzać mi rodzinnego klejnotu.

- Jeszcze jeden powód, żeby użyć bata.

- Oj! Babciu. Jestem wstrząśnięty.

- Wstrząśnięty? Dopiero będziesz. Dostaniesz cięgi, jeśli zaraz nie zabierzesz stąd swojego tyłka i nie znajdziesz sobie nowej narzeczonej. - Jej twarz nagle złagodniała. - Jesteś moim wnukiem i bardzo cię kocham, ale ktoś musi ci uświadomić twoje słabości.

- Jestem beznadziejnym przypadkiem, babciu.

- Ludzie potrafią się zmieniać.

Cole zatrzymał się przed swoim pikapem i otworzył drzwi.

- Nie ja - powiedział, patrząc jej w oczy.

- Dlaczego?

Zawahał się. Wiedział jednak, że jeśli chce liczyć na jej wsparcie, musi być szczery. - Przeze mnie płaczą, babciu.

Potrząsnęła głową. Uśmiechnęła się trochę smutno.

- Oddalasz się od nich emocjonalnie, a wtedy one rzucają cię naprawdę.

- Nie potrafię tego zmienić.

- Owszem, potrafisz

. Cole westchnął głęboko.

- Daj broszkę Kyle'owi. To dobra decyzja.

- Znajdź sobie narzeczoną. To jest dobra decyzja. Później mi za to podziękujesz.

- Szczęście małżeńskie?

- Szczęście małżeńskie.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. -I mówi to kobieta, która wyrzuciła ubrania swojego męża przez okno.

Babcia obróciła się gwałtownie, ale zdążył jeszcze zauważyć, że się uśmiechnęła.

- Doskonale wiesz, że to bezwstydnie oszczerstwo.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Ale nie zaprzeczysz, że na trawniku leżały części męskiej garderoby?

- Nie mogę potwierdzić niczego takiego, Cole'u Nathanielu - prychnęła. - Zuchwalec.

- Jak zawsze.

- Masz to po matce. Niech spoczywa w spokoju.

Cole pomógł babci wsiąść do auta.

- „Piorun” jest naprawdę idealnym prezentem ślubnym - stwierdził.

- Będzie. - W głosie babci słychać było nutkę nadziei. Wygładziła sukienkę na kolanach. - Musisz tylko znaleźć sobie żonę.

- Nie ma nadziei - mruknął.

- Potrzebujesz pomocy?

- Babciu...

Złożyła dłonie na kolanach.

- Spóźnimy się na przyjęcie - powiedziała zadowolona z siebie.

- Nie odważysz się tego zrobić. Popatrzyła nań i zamrugowała gwałtownie.

- Czego zrobić?

- Nie próbuj mnie swatać.

- Z kim?

- Babciu!

- Zamknij, drzwi, kochanie. Spóźnimy się.

Cole otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Jego babcia odziedziczyła po przodkach upór i nieugiętość. Wiedział to doskonale, bo sam też odziedziczył te cechy.

Klnąc pod nosem, zatrzasnął drzwi. Dalsze spory nie miały sensu.

Kustosz Sydney Wainsbrook poczuła gwałtowny skurcz żołądka i przyływ adrenaliny, gdy w holu nowojorskiego Muzeum Laurenta zobaczyła Bradleya Slandera. W palcach trzymał ostrożnie wąski kieliszek do szampana. Uśmiechał się szeroko, a jego brązowe oczy stały się od tego jeszcze bardziej szurze niż zazwyczaj.

- Więcej szczęścia następnym razem, Wainsbrook - wycedził. Odchylił głowę i pociągnął z kieliszka. Przełknął i cmoknął z zadowoleniem.

O, tak! Miał prawo do zadowolenia. Niedawno przelicytował Sydney na aukcji złotego koreańskiego posążka, który w ten sposób zamiast do muzeum trafił w prywatne ręce.

Już trzeci raz w tym roku ten sęp wyrwał jej zdobycz. Po raz trzeci pojawił się w ostatniej chwili, by zniweczyć jej transakcję.

Sydney nie miała nic przeciw współzawodnictwu. Rozumiała też, że właściciel ma prawo sprzedać swoją własność za wyższą cenę. Ale Bradley stale krążył wokół niej i podkupywał jej informatorów. Mamił potencjalnych klientów niebotycznymi zyskami. Na koniec, ku rozczarowaniu właścicieli, oferował kwotę znacznie niższą. A dziedzictwo na zawsze przestawało być dostępne dla ogółu.

- Dobrze spałeś tej nocy? - spytała. Bradley oparł się o marmurowy filar.

- Niech pomyślę. Jakąś godzinę spędziłem w gorącej kąpieli, sącąc brandy i słuchając klasycznego jazzu. Potem położyłem się do mojego olbrzymiego łóżka i zamknąłem oczy. A ty?

Wbiła spojrzenie w ścianę za jego plecami.

- Fantazjowałam o tobie i tym wielkim toporze.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Cieszę się, że znalazłem się w twoich fantazjach, mała.

- Tak? Topór wygrał. Ty przegrałeś.

- Warto było.

Sydney zadrżała z gniewu. Pociągnęła z kieliszka duży łyk. Bradley zachichotał. -I co dalej? - spytał. Uniosła wysoko brwi.

- Co masz następnego na swojej liście? Czego teraz będziemy szukać? Coś ci powiem, Wainsbrook. Jesteś moim biletem do wspaniałej przyszłości.

- Może powinnam ci wysłać cały mój notes, żeby ci zaoszczędzić zachodu?

- Jak wolisz.

- Wolałabym, żebyś wetknął swój obrzydliwy łeb w najciemniejszą dziurę na jak najdłużej.

- Sydney, Sydney. A ja wszystkim znajomym opowiadam, że jesteś wielką damą.

- Prędzej mróz spowije piekło, niż po dobroci oddam ci moje informacje.

Wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. - Pochylił się ku niej. - Muszę przyznać, że pogoń za tobą bardzo mnie kręci.

Sydney zacisnęła zęby. Znow wróciły do niej marzenia o wielkim toporze. Lecz cóż miała robić?

W muzeum zatrudniona była na stażu. Jej dalszy los zależał od wyników jej pracy. Jeśli Bradley zgarnie jeszcze jedno jej odkrycie, ona

natychmiast straci posadę. Szef powiedział jej to zupełnie otwarcie po ostatniej przegranej aukcji.

Musiała stworzyć sobie większe pole do manewru i uwolnić się od Bradleya. Może nawet powinna wyjechać z kraju? Do Meksyku, Peru albo... do Francji. Och! Natychmiast stłumiła cisnący jej się na usta uśmiech.

- Widzisz? - zamruczał Bradley. - Ty też to lubisz. Wiesz o tym.

Zasalutował jej pustym kieliszkiem.

- Do następnego razu - rzucił.

- Do następnego - bąknęła ponuro. Wydawało jej się, że szanse na to, by Bradley pojechał za nią za ocean, były znikome. A to oznaczało, że miała wolną drogę do „Pioruna Północy”.

Spędziła trzy lata na poszukiwaniach legendarnej broszy. Znalazła nawet dowód na to, że poświęcił ją osobiście papież Urban V.

Wykonano ją dla króla wikingów, Olafa III, w roku 1075. Bogato zdobiona drogimi kamieniami przeszła burzliwe dzieje. Przetrwiała wiele wojen i podróży przez morza. Niektórzy utrzymują, że posłużyła jako zastaw przy zakładaniu klasztoru w La Roche.

Większość ludzi uważała, że brosza to tylko legenda. Jednak Sydney była pewna, że istniała. I jeśli nawet tylko połowa opowiadanych o niej historii była prawdziwa, posiadała niesamowitą moc przetrwania.

A jeśli przetrwała, to Sydney musi ją wytropić. Wtedy będzie mogła być spokojna o swoją przyszłość w Muzeum Laurenta. Zrobię to, rzekła w duchu, choćbym musiała związać Bradleya Slandera.

Życie jest piękne, pomyślał Cole. Trzy ostatnie dni spędził na aukcji w Butte, w stanie Montana, sycąc oczy pięknem koni rasy quarter horse. Na koniec udało mu się przelicytować rywali z Kalifornii i Nevady i mógł zabrać do domu śliczną klacz o imieniu Marzenie.

Być może nie pomnoży zbioru klejnotów rodu Ericksonów, ale na pewno potrafi wyhodować wspaniałe stado koni.

Rzucił torbę na podłogę swojej chaty i nogą zatrzaskał drzwi. Stale chodził poirytowany, bo wciąż dźwięczały mu w uszach słowa babci.

Wyjął z szafki poobijany ekspres do kawy i napełnił go. Niech no tylko Katie zajdzie w ciążę... Wtedy będzie okazja, by znów poruszyć sprawę „Pioruna”. Jeśli Olaf III mógł ustanowić jakiś obyczaj, to Cole I może ten obyczaj zmienić.

Zapalił kuchenkę gazową.

Zza okna doleciał go głośny pomruk czterocyndrowego silnika. Zdziwiony wyjrzał przez okno. Wszyscy w okolicy jeździli pikapami.

Nieopodal, pod starym dębem, zatrzymał się mały sportowy samochód. Drzwi się otworzyły i ukazała się zgrabna kostka, a za nią równie zgrabna łydka.

Pospiesznie wyszedł na ganek. Za plecami słyszał coraz głośniejszy świst ekspresu i bulgotanie kawy ciekącej do dzbanka. Silnik auta prychnął kilka razy, zakrztusił się i zgasł.

Druga, równie zgrabna noga dołączyła do pierwszej. Para kremowych pantofelków na wysokim obcasie wylądowała w kurzu.

Kobieta była szczupła i wysoka. Miała na sobie wąską spódniczkę i zakiet w kolorze kości słoniowej. Gęste kasztanowe włosy spływały jej na ramiona. Jasna cera i zaróżowione policzki dopełniały obrazu. Widać było, że niedawno przyjechała do doliny. Jeszcze nie zdążyła się zakurzyć.

Uśmiechnęła się szeroko i wsunęła we włosy okulary przeciwsłoneczne. Cole mimowolnie głęboko wciągnął powietrze.

- Halo! - Pomachała do niego ręką. Spróbowała zrobić krok po nierównym terenie i zachwiała się.

Cole szybko zbiegł ze schodków i podał jej ramię.

- Dziękuję - powiedziała. Zaciśnęła szczupłe palce na jego ramieniu.

Cole odniósł wrażenie, jakby go prąd poraził. Chrząknął nerwowo.

- Kłopoty z samochodem? - spytał.

- Nie sędzę - odparła z wahaniem.

- Doprawdy? - zdziwił się.

Zamrugnęła powiekami i wbiła w niego wielkie zielone oczy.

- Dlaczego? Nie zauważyłam niczego podejrzanego.

Patrzył w te oczy jak zahipnotyzowany.

- Chyba jest przegrzany - zawyrokował, oddychając ciężko.

- Zna się pan na samochodach?

- Trochę.

- To dobrze. - Obliznęła wargi. - Ja zwykle korzystam z taksówek.

- Domyślam się, że nie jest pani stąd. - Głupek, pomyślał.

- Jestem z Nowego Jorku.

- Z miasta?

Roześmiała się. Serce Cole'a zaczęło bić mocniej.

- Tak - odparła. - Z miasta.

Gdy weszli na ganek, usłyszeli donośny świst z kuchni.

- Do licha! - rzucił.

- Co się stało?

- Chwileczkę. - Trzema susami pokonał schodki, wpadł do kuchni i odsunął ekspres z palnika.

- Wykipiała panu kawa? - usłyszał za plecami.

- Obawiam się, że tak. - Wyczyścił blat, wytarł ręce i wyciągnął do niej dłoń. - Cole Erickson - przedstawił się.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Sydney Wainsbrook.

Uścisnęli sobie dłonie. Porażenie prądem powtórzyło się ze wzmożoną siłą.

- Mam się zająć pani samochodem? - Szybko cofnął rękę.

- Lepiej niech mnie pan poczęstuje kawą.

- Jest okropna - przestrzegł ją.

Wzruszyła ramionami.

- Jestem twarda.

Popatrzył na nią i parsknął śmiechem.

- O, tak! - przyznał.

- Jestem z Nowego Jorku.

- Tutaj jest Teksas.

- Niech mnie pan wypróbuj.

Cole zagryzł wargi. Nie ma mowy, pomyślał. Wyminęła go i zdjęła z półki dwa kubki.

- Proszę się nie przejmować moją delikatnością i nalać mi kawy.

- Służę pani.

Sydney gładziła palcem krawędź kubka. Nawet jak na standardy Nowego Jorku kawa była obrzydliwa. Ale wypłała wszystko. Do ostatniej kropli.

Potrzebowała Cole'a.

Przyglądała mu się uważnie. Był dużym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami. Gęste włosy, szeroki podbródek, a zwłaszcza pełne wyrazu oczy sprawiały, że na moment zabrakło jej tchu.

Będzie trudno, pomyślała. Ale wszystko, co dotyczyło „Pioruna Północy”, było trudne.

- Co zatem sprowadziło cię do Blue Earth Valley, Sydney Wainsbrook?

Uśmiechnęła się. Bała się, że napotka jakiegoś odrażającego typu. A on był jak senne marzenie. Zastanawiała się tylko, dlaczego dotąd żadna kobieta go nie usidliła.

- Ty - odparła.

-Ja?

- Tak, ty.

- Spotkaliśmy się?

- Jak dotąd nie.

Wyprostował się i zmarszczył brwi.

- Chwileczkę...

- O co chodzi? - zaniepokoiła się.

- Czy to moja babcia cię tu przysłała?

Pokręciła głową.

- Nie, to nie ona.

- Na pewno? Bo...

- Na pewno. - Nikt za tym nie stał. Tylko ona sama. I tysiące godzin poszukiwań w europejskich muzeach.

Odsunęła kubek i nachyliła się ku niemu.

- Dlaczego twoja babcia miałaby mnie tu przysłać?

Zacisnął zęby. Milczał.

- Hm... Ciekawie się zapowiada - rzuciła.

Patrzył na nią bez słowa.

- No, dalej - ponagliła.

Przewrócił oczami.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Ponieważ ona jest niepoprawną swatką.

Sydney omal nie parsknęła śmiechem.

- Twoja babcia próbuje cię wyswatać?

Skrzywił się.

- Brzmi staroświecko, prawda?

- Troszkę.

- Ona zawsze wtyka nos w cudze sprawy. I... No cóż... Mniejsza z tym.

Powiesz mi, co robisz w Blue Earth Valley?

Zamknęła w dłoniach kubek po kawie.

- Jestem kustoszem z Muzeum Laurenta.

Nie zareagował. Nie okazał paniki. To dobrze.

- Skończyłam właśnie trzymiesięczne poszukiwania w Europie.

Czekał.

- Które uzupełniały poprzednie trzyletnie poszukiwania. Do mojej pracy magisterskiej.

- Napisałaś pracę magisterską?

- Tak. Na temat „Pioruna Północy”.

No. Nareszcie zareagował. Jego spojrzenie zrobiło się zimne jak lód.

- Jak rozumiem, ty jesteś teraz właścicielem.

- Źle rozumiesz. - Mocno uderzył w stół.

- Pozwól mi wytłumaczyć...

- Bardzo dobry pomysł.

Wyprostowała się.

- Wiem, jak to jest.

- Jak co jest?

- Jak to jest z tym spadkiem. Wiem, że brosza przechodzi na własność twojej żony. Przyjechałam tutaj, żeby ci zaproponować małżeństwo.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Cole zeszywniał.

Otworzył usta i zamknął je bezgłośnie. Patrzył na prześliczną postać i usiłował zrozumieć, co tu się dzieje. Czy to miał być żart?

- To Kyle cię do tego namówił?
- Kto to jest Kyle?
- Mój brat. Pokręciła głową.
- To nie był twój brat. Ani twoja babcia.
- Kto zatem? -Ja.
- Naprawdę sądzisz, że uwierzę, że przyjechałaś z Nowego Jorku...
- Tak. - Wyjęła z torebki wizytówkę.

Przeczytał. Wszystko się zgadzało. Muzeum Laurenta. Zirykowało go to jeszcze bardziej. „Piorun Północy” nie był byle towarem. Symbolizował zaufanie i obowiązek.

- To znaczy, że ta awaria była ukartowana?
- Jaka awaria?
- Twojego samochodu.
- Mój samochód jest w porządku.
- Twój samochód jest zepsuty.
- Słuchaj, właśnie złożyłam ci propozycję...

Wstał.

- Naprawdę myślisz, że się zgodzę?
- Mam nadzieję...

- W którym świecie? - Podniósł głos. Był urażony. W imieniu swojej babci, przodków i spadkobierców. - W którym świecie zgodziłbym się poślubić kompletnie obcą kobietę i oddać jej rodzinne dziedzictwo?

Także wstała.

- Ach nie, wcale nie chciałam...

- Muszę podkuć konie. - To już był koniec.

- Właśnie teraz? - spytała.

- Właśnie teraz. - Porwał z haka na ścianie kapelusz i wcisnął go na głowę.

Sydney patrzyła za odchodzącym Cole'em. Nie za dobrze mi poszło, pomyślała. Nawet nie pozwolił jej wytłumaczyć, że wcale nie chciała ukraść broszy. Chciała tylko móc wystawić ją w muzeum na kilka miesięcy.

Muzeum Laurenta szykowało wystawę poświęconą wikingom. Gdyby udało jej się zdobyć „Piorun”, zdołałaby pokrzyżować plany Bradleyowi Slanderowi i uratować swoją karierę. Potrzebowała tylko współpracy tego kowboja.

Patrzyła na niego i obmyślała następne posunięcie.

Dawno nie widziała tak potężnie zbudowanego mężczyzny. Miał szerokie ramiona. Był silny jak dąb. Z trudem oderwała od niego oczy. Nie rób sobie nadziei, pomyślała. To ma być tylko papierowe małżeństwo. Skup się na broszy.

Odwróciła wzrok i popatrzyła na wynajęty samochód.

Awaria, tak? To mógł być dla niej bilet do spędzenia z nim dłuższego czasu. Postanowione! Kiedy Cole zniknął za węglem, podniosła maskę samochodu i wyrwała kilka przypadkowych kabli elektrycznych.

Otrzepała ręce, przerzuciła torebkę przez ramię i pomaszerowała na wzgórze.

Wysokie obcasy nie były zbyt odpowiednie na wizytę na ranczu Ericksonów. Wąska spódniczka i rozpuszczone włosy także. Ale nie miała wyboru. Zadrapała się o płot kolczasty. Wbiła sobie w stopę kolec kaktusa. I omal nie została zjedzona przez gzy.

Na Cole'u wspinaczka nie zrobiła wrażenia. Stał na szczycie wzgórza z liną w ręce. Wsunął palce do ust i zagwizdał przenikliwie. Pożałowała, że tak nie potrafiła. Mogłaby wtedy przywołać każdego taksówkarza w Nowym Jorku.

Potknęła się, zachwiała. Zacisnęła zęby.

„Piorun” mógł jej bardzo pomóc w karierze. Zbyt długo studiowała, by teraz rezygnować.

Zza wzgórza wyłoniło się stado około dwudziestu koni. Pędziły z rozwianymi grzywami i ogonami. Gnały wprost na Cole'a. Ten stał bez ruchu. Nagle uniósł wysoko kapelusz i zamachał gwałtownie. Konie zwolniły biegu, otoczyły go i zatrzymały się.

Ależ to było... podniecające.

Cole chwycił jednego z koni i poprowadził przez bramę w ogrodzeniu. Sydney szybko ruszyła za nimi. Przerazały ją te wielkie zwierzęta, ale się nie poddawała.

Cole uwiązał konia przy belce i zaczął głaskać po szyi.

- Czy moja odmowa nie była jasna? - spytał Sydney.
- Odmówiłeś? - udała zdziwienie. Przez moment przyglądał jej się uważnie.
- Jeśli poprzednio nie zauważyłaś, powtórzę raz jeszcze: nie!
- Nawet mnie nie wysłuchałeś.
- Próbujesz ukraść nasze klejnoty rodzinne. Czego mam słuchać?

Poklepał konia i skierował się do pobliskiej szopy. Sydney poszła za nim.

- Nie zamierzam zatrzymać tej broszy - zaczęła.

- Aha. W takim razie...

- Tak? - Nadzieja ogrzała jej serce.

- Nie - rzucił. Znow nie pozwolił jej wyjaśnić do końca.

- Zawsze jesteś taki nierozsądny?

-Tak.

- Nieprawda.

Wyszli z szopy.

- Zawsze jesteś taka uparta?

- Może chociaż wysłuchasz mojej propozycji?

-Nie.

- Dlaczego?

- Czy kiedykolwiek wsłuchałaś się w małżeńskie przysięgi?

- Oczywiście.

- Jest tam mowa o miłości i szacunku aż do śmierci. Przed tobą stoi ksiądz, a za tobą rodzina i przyjaciele. I to w ich obecności składasz te przysięgi.

Sydney zawahała się. Nigdy nie myślała o tym w ten sposób. Wyobrażała sobie raczej uroczystość w ratuszu. Minimum słów, obrączki kupione w Internecie i zdawkowy pocałunek na koniec.

- Będę cię szanować.

Wbił w nią twarde spojrzenie niebieskich oczu.

- Czy będziesz mnie kochać?

Zesztywniała. Cóż za pytanie!

Umiała kochać. Kochała swoich przybranych rodziców. Kochała matkę. Lecz z tej miłości zostały jej tylko gorzkie wspomnienia. Rodzice zginęli w pożarze domu, a przybrani rodzice zmarli przed pięcioma laty.

- Cześć, Cole - usłyszeli wesóły kobiecy głos. Sydney wzdrygnęła się, wyrwana z zamyślenia.

- Cześć, Katie - powiedział Cole.

- Unikasz nas?

Sydney obróciła się i zobaczyła kobietę siedzącą na koniu. Miała długie brązowe włosy związane w koński ogon. Na jej plecach kołysał się kowbojski kapelusz. Do tego flanelowa koszula i dżinsy. Jak z westernu.

Zeskoczyła na ziemię.

- Co? - spytał Cole. - Chcesz podkuwać konie? Dziewczyna parsknęła śmiechem. Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę do Sydney.

- Jestem Katie Erickson. Szwagierka Cole'a.

Sydney poczuła nadspodziewanie mocny uścisk jej dłoni.

- Sydney Wainsbrook.

- Miło cię poznać. - Zerknęła wyczekująco na Cole'a. - Co cię sprowadza do Blue Earth Valley? - spytała po chwili.

Sydney uznała, że i tak nie miała nic do stracenia.

- Przyjechałam wziąć ślub z Cole'em.

Z ust Cole'a wydobył się nieokreślony dźwięk. Ale Katie się rozpromieniła.

- A więc przyłączysz się do nas - powiedziała.

- Jej zależy tylko na „Piorunie Północy” - warknął Cole. Katie nie zwróciła na niego uwagi.

- Jak długo go znasz? - zwróciła się do Sydney. - Gdzie się poznaliście? - Spojrzała na dłonie Sydney. Nie dostrzegła pierścionka. - Oświadczył ci się?

- To ja mu się oświadczyłam.

- Jej zależy tylko na „Piorunie Północy” - powtórzył Cole. - To oszustka.

- Jestem kustoszem muzealnym. Chcę pokazać „Piorun” na wystawie. I naprawdę chcę za niego wyjść.

- Ona jest... - Cole odwrócił się i odszedł. - Zapomnij. - Machnął zrezygnowany ręką.

- Daj spokój, Cole - zawołała za nim Katie. - Jej propozycja brzmi całkiem rozsądnie. A ty wcale nie robisz się młodszy, przecież wiesz.

Wymamrotał coś niezrozumiale.

Katie się roześmiała i odwróciła do Sydney.

- Pracujesz w muzeum?

- W Muzeum Laurenta.

- W Nowym Jorku?

-Tak.

Reakcja Katie nie była tak gwałtowna jak Cole'a. Może ona zechce mnie wysłuchać? - pomyślała Sydney. Może ma jakiś wpływ na szwagra?

- Zamierzałam wystawić klejnot tylko na jakiś czas - powiedziała na tyle głośno, by Cole również ją usłyszał. - Chodziło mi tylko o wypożyczenie broszy.

- Skąd wiesz, że „Piorun” przechodzi w ręce żony? - spytała Katie.

- Prowadziłam badania.

- A skąd wiedziałaś, że Cole nie jest jeszcze żonaty?

- To też zbadalam. - Sydney znów podniosła głos. - Myślałam o czymś niezobowiązującym. Tylko w urzędzie.

- Fikcyjne małżeństwo - podsumowała Katie.

- Właśnie.

- A co ja z tego będę miał? - spytał Cole.

- Możesz uznać to za służbę społeczeństwu - odparła Sydney.

- Nie jestem altruistą.

- Udostępnisz ważny zabytek całemu światu.

- To jest prywatna własność.

- Chodzi tylko o wypożyczenie.

- Czy dasz wreszcie spokój?

Nim Sydney zdołała odpowiedzieć, Katie zwróciła się do niego z propozycją:

- Zjedz z nami obiad.

- Katie! - warknął Cole. Oderwał się od podkowy, którą właśnie przybijał, i otarł pot z czoła.

- Możemy porozmawiać, Cole? - spytała Katie. - Rozmowa nikomu nie zaszkodzi.

W Sydney znów obudziła się nadzieja. Katie na pewno była po jej stronie.

- Wy dwie możecie robić co wam się podoba. - Cole znów sięgnął po młotek. - Ja na ten obiad nie przyjdę.

- Przyjdiesz - rzekła pewnie Katie.

-Nie.

- Przyślę po ciebie Kyle'a.

- Powodzenia.

Katie wsparła ręce na biodrach i uniosła wysoko jedną brew.

- Naprawdę musisz coś zrobić ze swoją żoną - zatroskał się Cole.

Oparł się o barierkę obok rusztu, na którym brat smażył mięso.

Kyle odwrócił się do niego.

- To nie moja wina, że nie potrafisz jej odmówić.

- A ty potrafisz?

- A czemu miałbym?

- Zawsze?

- Zawsze.

Cole skrzyżował ramiona na piersi.

- Nigdy nie musiałeś tupnąć i wyłożyć logicznych argumentów?

Kyle się roześmiał.

- Żartujesz, prawda?

- Jak można żyć z kimś, kto nieustannie dyryguje każdym twoim krokiem?

- Mówimy o Katie czy o Sydney?

- Katie pomaga Sydney. A mówimy o kobietach w ogóle.

- I o twoim strachu przed nimi.

- Nie gadaj bzdur.

- To dlaczego tak się boisz pomysłu Sydney? Cole z wyrzutem spojrzał na brata.

- Poważnie sugerujesz, że powinienem się ożenić z nieznajomą i oddać jej „Piorun”?

- Ona jest z muzeum, a nie z gangu. Sugeruję tylko, żebyś jej wysłuchał.

W drzwiach ukazała się Katie z wielką drewnianą miską pełną sałaty.

- Kogo ma wysłuchać? - spytała.

- Sydney - odpowiedział Kyle.

- O, świetnie - zawołała Katie. - Przyszliśmy w dobrym momencie.

Zza jej pleców wyjrzała Sydney. Niosła koszyk z pieczywem. Na jej widok Cole wziął głęboki oddech. Zdjęła żakiet i została w obcisłej jedwabnej bluzeczce. Robiła wrażenie!

- Możesz otworzyć wino? - zwróciła się do niego Katie.

- Ja... Oczywiście. - Otrząsnął się. Podniecasz się jak nastolatek, skarcił się w myślach.

- Wylicytowałem Marzenie - zwrócił się do brata, niezbyt finezyjnie zmieniając temat rozmowy.

Kyle uśmiechnął się do niego porozumiewawczo i przyłączył się do gry.

- Zamierzasz pokryć ją Sylwestrem? - spytał.

Z cichym trzaskiem Cole wyciągnął korek z butelki.

- Na wiosnę. Zacznę w ten sposób nową linię hodowlaną. Sydney postawiła koszyk na stole, a Cole odruchowo podał jej krzesło. Podziękowała uśmiechem.

- Przypomniało mi się - odezwał się Kyle - że potrzebuję twojego podpisu na kontrakcie z Everwoodem. - Przełożył usmażone steki z rusztu na drewniany półmisek. - Zgodził się na moje warunki. Odbierze każdą ilość wołowiny, jaką mu dostarczymy.

Cole z trudem ukrył irytację. Miał za złe Kyle'owi, że przybiegał do niego po podpis w każdej błahej sprawie. Był wyjątkowo uzdolnionym hodowcą i gdyby nie archaiczna tradycja, która kazała przekazywać ranczo najstarszemu synowi, to on powinien je prowadzić.

- Oby tak dalej - pochwalił. - Zawsze miałeś głowę do interesów.

- Taaak. Na pewno - rzucił Kyle z przekąsem.

- Mówię poważnie.

- Cały wieczór będziemy rozmawiać o interesach? - odezwała się Katie.

Równocześnie Cole potwierdził, a Kyle zaprzeczył. Wszyscy usiedli. Sydney pochyliła się do przodu.

- To może porozmawiamy o mojej sprawie?

- Przepiszę na ciebie połowę rancza - powiedział Cole do Kyle'a. Na Sydney nawet nie zwrócił uwagi.

Jego słowa odniosły skutek, jakiego się spodziewał. Zapadła martwa cisza.

- Rozmawiałem już z prawnikiem, kiedy w zeszłym tygodniu byłem w Dallas - ciągnął Cole.

- Cole - rzucił Kyle ostrzegawczo.

- Uważam, że możemy wytyczyć granicę wzdłuż Grani Spruce'a i dalej wąwozem aż do szosy.

- Przestań! - Kyle uderzył pięścią w stół.

- Zrobię to - oświadczył Cole.

- O, nie. Nie zrobisz.

- Nie zdołasz mnie powstrzymać.

- Chłopcy - wtrąciła się Katie.

- Owszem, zdołam - sprostował Kyle. - Nie podpiszę zgody.

- To nie zależy od ciebie. - Cole od dawna miał poczucie winy. Nie mógł się już cofnąć. - Są takie chwile, kiedy mężczyzna musi postawić na swoim i podjąć decyzję w interesie rodziny.

- To miała być groźba? - spytał Kyle.

- Nie.

- Ale tak to zabrzmiało.

- Nie chciałem tego - powiedział Cole pojednawczo. - Uważam tylko, że mężczyzna powinien posiadać własną ziemię.

- Kyle? - znów się wtrąciła Katie. - Cole?

- Chcesz powiedzieć, że przez te wszystkie lata nie miałem swojej ziemi?

- Ależ skąd - zapewnił go Cole.

- No to przestań.

- A co z twoimi dziećmi?

Kyle zacisnął zęby, ale się nie odezwał. Cole miał nadzieję, że brat traci argumenty.

- Musisz zbudować majątek dla swoich dzieci - ciągnął. - Musisz im coś zostawić. Jeśli nie chcesz myśleć o sobie, pomyśl o nich.

Cole poczuł na ramieniu rękę Sydney. Jego mięśnie natychmiast stężały. Posłał jej zdumione spojrzenie.

- Mów dalej. - W głosie Kyle'a zadźwięczały stalowe nuty.

- Pojedź ze mną do Dallas, do prawnika. - Paznokcie Sydney wbiły mu się boleśnie w rękę.

Co ona, do diabła, wyrabia?

- Nie chodzi tylko o ciebie - mówił dalej Cole. - Masz rodzinę...

Sydney nacisnęła jeszcze mocniej. Zabolało. Obrócił głowę w jej kierunku i przy okazji zobaczył twarz Katie.

Umilkł, widząc zbielejące wargi szwagierki.

- Katie?

Katie zaczęła drżeć i wstała. Kyle zerwał się z krzesła.

- Co? - Cole też się poderwał. - Co się stało? Katie potrząsnęła głową i machnęła ręką.

- Nic mi nie jest - wyjąkała.

- Nieprawda - powiedział Cole. Położyła dłoń na ramieniu Kyle'a.

- Naprawdę nic mi nie jest. Muszę się tylko napić wody.

Kyle otoczył ją ramieniem i uściśnął.

- Na pewno? - szepnął.

- Tak. - Kiwnęła głową. - Niepotrzebne to całe zamieszanie. Zaraz wrócę.

Kyle odprowadził ją wzrokiem, gdy wychodziła z kuchni.

Cole nerwowo przeczeszał palcami włosy.

- Przepraszam - zmieszał się. - Co tu się, do...

- Mogę w czymś pomóc? - spytała Sydney Kyle'a. Kyle zacisnął powieki i usiadł. Pokręcił głową.

- To ta rozmowa o dzieciach - wyjaśnił.

Cole usiadł powoli. Chciał coś powiedzieć, ale Sydney powstrzymała go gestem. Poczul się okropnie zagubiony i dezorientowany.

- Miała nadzieję, że już będzie w ciąży - wyznał Kyle. Cole poczul mróz na plecach.

Sydney rzuciła serwetkę na stół.

- Idę do niej - postanowiła.

Wszyscy wstali.

Gdy wyszła, Kyle sięgnął po kieliszek i pociągnął długi łyk wina.

Cole nie wiedział co powiedzieć. Nigdy nie rozmawiał z bratem o tak osobistych sprawach. Czy to był problem medyczny?

- Czy ty... - zaczął. - Czy wy...

- Doktor uważa, że to z powodu stresu - powiedział Kyle. - Ale to nic pewnego. Katie boi się, że w ogóle nie będzie mogła mieć dzieci.

- Chyba jej nie pomogłem swoim gadaniem... - Cole chętnie kopnąłby się w tyłek.

Kyle parsknął smutnym śmiechem.

- Następnym razem przyglądaj mi się uważnie i zamknij się, kiedy trzeba.

- Następnym razem będę zwracał uwagę na znaki, jakie daje mi Sydney. - Cole nie mógł pojąć własnej głupoty. - Czy mogę jakoś pomóc?

- Ożeń się i miej dzieci, żeby Katie przestała się zamartwiać tymi wszystkimi kwestiami dziedzictwa.

- To nie takie proste.

- Hej! W mojej kuchni dostałeś doskonałą propozycję.

- Od doskonałej naciągaczki. Poza tym Sydney nie chce mieć dzieci. Jej zależy tylko na „Piorunie”. Jestem pewien, że jej oferta jest całkowicie platoniczna.

Kyle spojrzał mu prosto w twarz. Oczy mu zajaśniały.

- Co? - spytał Cole podejrzliwie.

- Nie musisz mieć dzieci z Sydney. Spraw tylko, żeby Katie pomyślała, że będziecie je mieli.

- To nieuczciwe. - Poza tym Katie i tak wiedziała, po co Sydney przyjechała. Trudno byłoby ją przekonać, że będzie miała z Cole'em dzieci.

- Nie. - Kyle pokręcił głową. - To cudowne. Udasz, że się w niej zakochałeś, że masz zamiar się z nią ożenić. Sydney dostanie broszkę, a Katie się uspokoi na tyle, że zajdzie w ciążę.

- A ja zostanę z żoną, której w ogóle nie znam, która mnie nie kocha i nie chce ze mną sypiać, ale zabierze mój klejnot?

Kyle upił kolejny łyk wina.

- Jestem pewien, że nie jesteś pierwszym facetem, któremu się to przytrafia.

Cole prychnął.

Kyle poklepał go po ramieniu.

- Będziesz miał satysfakcję, że postawiłeś na swoim i podjąłeś decyzję w interesie rodziny.

- Jakoś nie czuję, żebym to ja podejmował decyzję.

- A więc zrobisz to?

- Tego nie powiedziałem. - Skąd pomysł, że jego małżeństwo może mieć wpływ na ciążę Katie? - Będziemy okłamywać twoją żonę?

- Nie, wcale nie. Nic nie musimy mówić. Katie jest beznadziejnie romantyczna. Uwierz mi, popchnie ciebie i Sydney ku sobie bez względu na to, co wymyślimy. Musisz się tylko kręcić koło Sydney i sprawiać wrażenie zakochanego.

- Nie jestem zakochany.

- Wystarczy, że będziesz na nią patrzył tak jak przed obiadem.

- Ja nie...

- No pewnie. Przyznaję, że byłeś bardziej napalony niż zakochany. Ale to powinno wystarczyć.

- Zwariowałeś.

- To niezła laska, Cole. Nie będziesz bardzo cierpieć.

Cole poczuł strach, zaczął bowiem dostrzegać, że w tym szalonym pomysłe brata jest jakiś sens,

- To najbardziej zwariowany plan, jaki kiedykolwiek słyszałem - stwierdził. - Zabierz Katie na wakacje. Niech wypocznie na plaży. Ja zapłacę.

- Będzie się o ciebie martwiła.

- Nie musi się o mnie martwić.

- Ja to wiem i ty to wiesz, ale Katie...

Cole popatrzył przez okno w dal.

- Wiesz, dzisiaj rano sprawy wyglądały tak dobrze - powiedział. - Kupiłem nową klacz. Obmyślałem kolejne przedsięwzięcia, myślałem o kuciu koni, o budowie nowej stodoły, może o kupnie kombajnu...

Kyle zaczął się śmiać.

- I wtedy pojawiła się Sydney Wainsbrook i niespodziewanie zamieszła w moim życiu.

- Kyle? - zawołała Katie z kuchni.

- Tak, kochanie?

- Nie uważasz, że jest już zbyt późno, żeby Sydney jechała sama do Wichita Falls?

- Oczywiście, że jest zbyt późno. - Kyle uśmiechnął się do Cole'a tryumfalnie. - Stanowczo zbyt późno.

- Zostanie u nas - zawołała Katie.

- Doskonale.

- Na nic się nie zgodziłem - powiedział Cole cichym głosem.

- Masz łatwe zadanie - zapewnił Kyle. - Kręć się tylko koło niej i sprawiaj wrażenie zakochanego.

- Jadę do domu.

- Przyjedź na śniadanie.

-Nie.

- Wyślę po ciebie Katie.

- Powodzenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cole spokojnie jadł śniadanie, kiedy ktoś zastukał do drzwi jego chaty.

- Proszę - zawołał. Był przekonany, że to Kyle albo Katie. Albo oboje.

Ale to była Sydney.

- Cześć, Cole.

Cole przeklął w duchu Kyle'a.

- Dzień dobry, Sydney - mruknął.

- Mogę?

Nigdy w życiu!

- Oczywiście.

Uśmiechnęła się. Jakże powabnie.

- Dziękuję - powiedziała.

Katie musiała jej pożyczyć trochę ubrań, ponieważ miała na sobie obcisłe dzinsy i bawełnianą koszulkę. Makijaż, znacznie bardziej dyskretny niż poprzedniego dnia, tylko dodawał jej powabu.

- Kawy? - Z trudem wydobył głos ze ściśniętej krtani.

- Z przyjemnością.

- Dzisiaj jest trochę lepsza.

Tylko jedna filiżanka, pomyślał. I choćby nie wiem co mówiła, nie dam się namówić na śniadanie u Kyle'a.

Plan Kyle'a był szalony, ale... gdyby dawał choć cień szansy na to, że Katie zajdzie w ciążę, może warto spróbować? Katie byłaby najlepszą matką na świecie.

- Wczorajsza kawa była dobra.

- Kłamiesz - rzucił Cole.

Wzruszyła ramionami.

- Pijałam gorszą.

- Ciekawe gdzie?

- U Shermana, na Pięćdziesiątej Drugiej. Byłeś kiedykolwiek w Nowym Jorku?

- Nigdy nie musiałem. Jesteś głodna?

- Katie zrobiła jajecznicę.

Pokiwał głową i usiadł.

- Jak ona się czuje? - spytał.

- Myślę, że jest smutna.

Cole zachmurzył się. Poczł wyrzuty sumienia.

- Wiesz, że twój brat wymyślił plan, jak temu zaradzić, prawda?

Wszystkie mięśnie Cole a napięły się jak postronki. Kyle wciągnął w to Sydney? Co za...

Napił się kawy, zyskując w ten sposób kilka sekund.

- Jaki plan? - spytał.

- Podobno wszystko ci wyjaśnił wczoraj wieczorem.

- A tobie co powiedział?!

- Że pojawiłam się w doskonałym momencie. Że powinniśmy się pobrać i pozwolić Katie uwierzyć, że przedłużymy dynastię Ericksonów.

Spisek. To był podły spisek.

- Naprawdę myślisz, że Katie się na to złapie? Sydney spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Uważasz, że to niemożliwe, by uwierzyła, że się mną interesujesz?

- Próbujesz mnie podejść?

Uśmiechnęła się.

- Być może.

- A może mnie zainteresować? Uśmiechnęła się szerzej.

- Może też.

Cole westchnął ciężko.

- Nie chcę, żebyś się poczuła urażona.

Nie chciał się żenić z nieznajomą, czy to takie dziwne? Sydney wpatrywała się w niego tymi cudownymi oczami.

- No, dobrze, ja pierwsza. Jesteś przystojny i pociągający. Katie bez trudu uwierzy, że poleciałam na ciebie.

Pociągający, pomyślał. No!

Przecież to ona była pociągająca. To, jak się poruszała, jak mówiła, jak się śmiała, budziło w nim gorące pragnienia. Stale czuł na ramieniu jej dotyk. I było to wspaniałe wspomnienie.

- Cole?

- Hmm?

- Myślę, że to dobry plan.

- Oczywiście, że tak myślisz.

- Jeśli nam się powiedzie, pomożemy Katie, a ja pomogę Muzeum Laurenta... Szanowanej instytucji publicznej. Co w tym złego?

- Nie ma jakichś miejsc, dokąd mogłabyś pojechać? Coś wykopać?

- Tym się zajmują archeologowie. Dla mnie najważniejszy jest „Piorun”.

Cole opadł na krzesło.

Ona mówiła poważnie. Dobrze. Na moment i on potraktuje sprawę poważnie.

- A co z twoją rodziną? Okłamiesz ich w sprawie swojego małżeństwa?

- Z tym nie będzie problemu. - Machnęła lekceważąco ręką.

- Nie utrzymujesz z nimi kontaktu? - zdziwił się.

Cień przemknął po jej twarzy.

- Moi przybrani rodzice umarli pięć lat temu.

Poczuł bolesny ucisk w żołądku. Dobrze wiedział, co to znaczy stracić rodziców.

- Przykro mi - powiedział.

- W porządku. - Pokręciła głową.

- A twoi bracia? Siostry?

- Nie mam.

Współczuł jej coraz bardziej.

Wstał i zebrał naczynia, żeby je wstawić do zlewu.

- Cole? - Poszła za nim.

- Tak? - Poczuł za plecami upojny zapach jej perfum. Nie odważył się spojrzeć za siebie.

- Czemu się wahasz? Możemy podpisać każdy dokument, jaki zechcesz, żeby chronić „Piorun”.

- Nie o to chodzi.

Ale o to właśnie chodziło. Przynajmniej w pewnej części. Nie znał Sydney. Musiałby być głupcem, żeby jej zaufać.

Lecz szło o coś więcej niż ryzyko formalne. Miał się ożenić. Z kobietą, której nie kochał. Być może miał staroświeckie przekonania, ale po prostu nie potrafił sam siebie do tego przekonać.

- Muzeum Laurenta to bardzo poważna instytucja - zapewniła.

- Wierzę.

- Chodzi o okłamywanie Katie, tak?

Odwrócił się. Stała tuż za nim. Wystarczyło wyciągnąć rękę, by jej dotknąć. Wystarczyło się pochylić, by ją pocałować.

- Chodzi o okłamywanie Katie - wyjaśnił. - I babci. I Boga.

- Możemy wziąć ślub cywilny.

- To niemożliwe.

Zaskoczona przechyliła głowę na bok. Przysunął się odrobinę. Miał nadzieję, że zdoła ją przekonać.

- Rozmawiamy o mojej rodzinie - powiedział. - Oni mnie doskonale znają. Wiedzą, że jeżeli kogoś pokocham... tak naprawdę... to nigdy się nie zgodzę na ślub przed urzędnikiem i jakimiś obojętnymi świadkami.

Sydney zagryzła wargi. Zamyśliła się.

- Jesteś gotowa pójść w białej sukni do ołtarza, przysiąc mi miłość i wierność, pocałować mnie i rzucić bukiet?

Kiedy to mówił, zobaczył to wszystko oczyma wyobraźni. Zobaczył Sydney w białej sukni i welonie. Z bukietem białych róż w drżącej dłoni. Niemal poczuł gładkość jej skóry i smak jej ust.

- Oboje będziemy wiedzieli, że to tylko mistyfikacja - powiedziała.

Cole odegnał natrętne obrazy.

- Tak. To prawda. Oboje będziemy wiedzieli, że to tylko mistyfikacja.

- I tylko to się liczy. - Skrzyżowała ramiona. - Wiedząc, dlaczego to robię, jestem gotowa.

Cole zacisnął zęby. Oddałby jej „Piorun” choćby jutro, gdyby to od niego zależało. Ale dyspozycja Olafa III i wola dziadka znaczyły dla niego więcej.

Rozwahał wszystko starannie. Czy mógł tak postąpić? Oczywiście, mógł. Nikt by z tego powodu nie umarł. Małżeństwa rozpadają się każdego dnia. Po jakimś czasie mógłby się po prostu rozwieść z Sydney.

- I ja też - zdecydował. Wiedział to od chwili, w której brat przedstawił mu swój plan. Rodzina go potrzebowała. Nie miał wyboru.

Sydney uśmiechnęła się szeroko.

- Od czego zaczynamy? - spytała.

- Po pierwsze - powiedział Cole dwie godziny później, siodłając konia
- musimy przekonać Katie, że za tobą szaleję.

Sydney przyglądała się wielkiemu zwierzęciu z bezpiecznej odległości. Siedziała na werandzie i biła się z myślami. Nie, nie w sprawie ślubu z Cole'em. Co do tego była absolutnie pewna słuszności postępowania. Walczyła ze sobą w sprawie wejścia na grzbiet konia.

- Wytłumacz mi jeszcze raz, co mają do tego konie? - poprosiła.

- Nie oglądasz filmów? - Mocno dociągnął popręg. Każdy jego ruch dowodził wprawy i doświadczenia. - Ludzie zakochani wciąż galopują po plaży.

Może i tak. Ale żadna siła nie mogła zmusić Sydney, by wsiadła na konia, nie wspominając już o galopowaniu.

- Czy nie moglibyśmy po prostu pojechać do kina? - spytała.

- Ale gdzie? - Zabrał się za siodłanie drugiego konia.

- Nie wiem.

- Do Wichita Falls jest daleko.

- To może piknik? Ty, ja, mrówki, butelka wina?

- Przecież chodzi o to, żeby Katie nas widziała.

To prawda. Cole i Sydney sami na łące... Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć.

- A nie mógłbyś mnie wziąć na swojego konia?

- Nie zrobię tego mojemu koniowi.

-Hej!

- Nie bądź taka drażliwa. - Przewrócił oczami. - To ja jestem ciężki, nie ty.

Rozpaczliwie szukała jakiegoś rozwiązania.

- Wiem. Poszarpiemy trochę na sobie ubrania i Katie pomyśli, że się kochaliśmy.

Podprowadził mniejszego z koni do werandy.

- Na pierwszej randce? - spytał.

- Co? Jesteś aż tak pruderyjny?

- Nie jestem pruderyjny. Wsiadaj.

Pokręciła głową. Cofnęła się o krok. Potem drugi. Aż oparła się o ścianę chaty.

- No to dlaczego nie na pierwszej randce? - drażyła.

- Ponieważ mam uchodzić za zakochanego w tobie. Wsiadaj. Clarabelle nie zrobi ci krzywdy.

Nie mógł uprawiać seksu, jeśli miał uchodzić za zakochanego?

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że chodzi o złe i dobre dziewczyny? - dociekała.

Oczy mu pociemniały, aż poczuła ciarki na plecach.

- Chodzi o jazdę konną - odparł.

- Bo jeśli będziesz się upierał...

- To co? Odmówisz wyjścia za mnie? - rzucił zaczepnie.

Lecz Sydney gotowa była na takie wyzwania. Nie widziała niczego złego w seksie na pierwszej randce. Nie, nie robiła tego nigdy, ale mogłaby, gdyby chciała.

- Nie odmówię wyjścia za ciebie - odparła. - Ale musisz mi powiedzieć, jakiego rodzaju dziewczyną mam być.

Nozdrza mu zadrzały.

No! Teraz on był w kropce. Podeszła do barierki. Jej piersi znalazły się na wysokości jego oczu.

Wychyliła się jak najdalej i poklepała konia po szyi. Poczowała ciepło zwierzęcia pod palcami.

- Jakiego rodzaju dziewczyną mam być, Cole? - spytała chrapliwym głosem.

- Sydney.

- Hmm?

- Nie rób tego.

- Czego?

- Nie flirtuj ze mną.

Zamrugwała, udając zaskoczoną.

- Ja tylko zadałam ci pytanie.

- Nieprawda. - Wskoczył na werandę i stanął tuż przed nią. - Sama się prosisz o kłopoty - ostrzegł. A jej serce skoczyło do gardła.

Miał rację. Był wysoki, silny, pociągający i miał rację. Jeżeli to miały być te kłopoty, wchodziła w to. Ale on zmienił temat.

- Przytrzymaj się lęku - polecił i popchnął ją delikatnie. - Teraz wsuń lewą stopę w strzemień i przerzuć prawą nogę nad siodłem.

Sydney zamarła. Flirtować umiała. Z końmi nigdy nie miała do czynienia.

- Posłuchaj - zaczęła - ja nigdy, przenigdy...

- To proste.

- Cole - rzuciła błagalnie.

- Ona jest spokojna i łagodna. Będzie iść cały czas za mną.

- Boję się - wyznała Sydney.

- Trzymaj wodze. - Wcisnął jej w dłoń ramię. Jego dłonie były ciepłe i silne. Na chwilę się uspokoiła.

- Jestem tuż za tobą. - Popchnął ją znowu. - Stopa w strzemień.

Nabrała dużo powietrza i wykonała polecenie.

- Do góry. - Poczowała jego dużą dłoń na pośladku.

I po chwili siedziała w siodle. Patrzyła z wysoka w wesołe niebieskie oczy.

Od chaty Cole'a do domu Katie i Kyle'a na wzgórzu był spory kawałek. Przebyli go wolnym stępem. Clarabelle naprawdę cały czas szła za karym wierzchowcem Cole'a.

- Katie powiedziała, że mieszkałeś w tym domu - zawołała do Cole'a, kiedy dotarli na miejsce.

Obrócił się ku niej.

- Wyprowadziłem się, kiedy Kyle się ożenił.

- Było was tylko dwóch?

Pokiwał głową. Wstrzymał konia i po chwili jechali ramię w ramię.

- Moi rodzice umarli, kiedy miałem dwadzieścia lat. Kyle miał osiemnaście.

- Przykro mi.

- Było ciężko. Na szczęście mieliśmy babcię.

- Babcię-swatkę.

Cole się uśmiechnął. Ale zaraz wzrok mu przygasł.

- Ona naprawdę się tym przejmie - westchnął.

Sydney poczuła wyrzuty sumienia.

- Będzie dobrze? - spytała niepewnie.

- No cóż, na pewno uprze się przy ślubie kościelnym. I chyba zaraz zaczniesz piec tort.

Zatrzymał konie, ale nie zsiadł z siodła.

- Wiesz - zaczął - jeśli mamy dalej ciągnąć tę historię, lepiej, żebyśmy ustalili wspólną wersję.

- To może powiemy, że zadurzyłeś się we mnie, a ja się z tobą żenię z litości? - zażartowała.

- To mogłoby się udać.

- Cole, ja tylko...

- To naprawdę może się udać.

Tylne drzwi się otworzyły i stanęła w nich Katie.

- Sydney - powiedziała. - Nadal tu jesteś?

Sydney uśmiechnęła się do niej.

- Cole zaproponował, że nauczy mnie jeździć konno. - Im więcej prawdy, tym lepiej.

- To fantastycznie - zawołała Katie i podbiegła do nich. Sydney wyprostowała się w siodle.

- Strasznie boli mnie tyłek. Nie wiem jak wy, chłopaki, to robicie.

- Odciski - skwitował Cole i zeskoczył na ziemię. - Niedługo też się dorobisz.

Flirtował z nią? Na to wyglądało. Zadrzała.

Uwiązał swojego konia i podszedł do niej.

- Pomóc ci zejść? - spytał.

- Jasne - odparła. Zapewne zeszłaby sama, ale pragnęła znów poczuć na sobie jego dłonie.

- Wyjmij stopy ze strzemion - polecił. - Lepiej, żebyś się nie zaplątała.

Wykonała polecenie. Katie przytrzymała jej klacz.

- Pochyl się do przodu i przerzuć nogę nad jej grzbietem - poinstruował Cole.

Wykonała.

Cole ujął ją w talii i powoli opuścił na ziemię.

Było to prawie tak podniecające jak wsiadanie na konia. Poczowała zapach Cole'a, a po chwili stali przyciśnięci do siebie. Zadygotała.

Cole szybko się cofnął o krok.

- Świetnie sobie radzi - powiedział do Katie. Potem schylił się i odsunął z twarzy Sydney kosmyk włosów. - Niedługo będzie mogła startować w zawodach. - Delikatnie ścisnął ją za ramię.

Sydney zamrugwała gwałtownie. Nigdy dotąd nie spotkała kogoś tak czułego i serdecznego. Prawie, jakby wstrzymała się w myślach. Przecież on tylko gra. I w tym naprawdę dobry.

Katie wzięła ją za rękę.

- A więc zostaniesz na trochę? - spytała.

- Jeśli ci to nie przeszkadza? - upewnił się Cole.

- Oczywiście, że nie. - Katie ścisnęła rękę Sydney. - Możesz zostać tak długo, jak zechcesz.

Cole odprowadził Clarabelle do żerdzi i uwiązał obok swojego konia.

Wkrótce ciemne chmury pokryły niebo nad doliną i krople deszczu zadzwoniły o szyby.

Przyjechał Kyle. Wszedł do domu, otrzepując kapelusz i ocierając twarz.

Katie uściskała go na powitanie. Pocałowała. Cole nachylił się do ucha Sydney.

- Wszystko w porządku - szepnął. - Świetnie.

- Co masz na myśli? Mnie?

- Nie. Deszcz.

- Och. - Sydney spojrzała za okno. Świetnie? Dziwaczne określenie na to, co tam zobaczyła.

- Czy gdzieś w okolicy płoną lasy? - spytała.

- Nie. Ale konie zmokły. Czeka nas okropna jazda.

Sydney skrzywiła się.

- Co w tym świetnego? - mruknęła. Wzdragająca się na samą myśl o jeździe w siodle. Nieważne, czy suchym, czy mokrym.

Poklepał ją po ramieniu.

- Musisz zacząć myśleć strategicznie.

- Dobrze. - Pokiwała głową i zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób deszcz może pomóc w realizacji ich planu. Zaleje drogi? Zostaną uwięzieni?

- Kiedy Kyle i Katie skończą - powiedział - zaproponuję powrót do domu. Kyle zaoferuje, że pojedzie na Clarabelle, ale ty upieraj się, że zrobisz to sama.

Sydney popatrzyła na mokre szyby.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo chcesz być ze mną, rzecz jasna. Jestem taki seksowny, że trudno mi się oprzeć.

Przechyliła na bok głowę.

- Jak mogłam o tym zapomnieć?

- Nie wiem. Chodzi o to, że jeśli będziesz chciała jechać w burzy na mokrym koniu, Katie pomyśli, że naprawdę za mną szalejesz.

Był w tym jakiś sens. Nie podobało jej się to, ale była gotowa na wszystko. Dla „Pioruna”.

- To znaczy, że Kyle zna cały plan? - spytała.

Cole pokręcił głową.

- Przed chwilą to wymyśliłem.

- A jeśli nie proponuje?

- Nie bądź śmieszna.

Posłała mu pytające spojrzenie.

- Jeśli nie zaproponuje, będziemy musieli wykopać go z Teksasu. Pamiętaj. Cokolwiek powie, ty się upieraj, że pojedziesz.

- To taka potajemna zemsta, prawda?

Cole dotknął palcem czubka jej nosa.

- Nie. Kiedy to będzie zemsta, dowiesz się o tym.

Plan Cole'a powiódł się całkowicie.

I już wkrótce Sydney stała w jego chacie, ociekająca wodą i obolała od siodła. On zaś, chociaż równie mokry, rozpałił ogień, a potem wyszedł zając się końmi.

Przez moment myślała nawet, by zaproponować mu pomoc, ale była zbyt wyczerpana. Otrząsnęła się z wody i rozejrzała po wnętrzu domu. Było ciepło i przytulne. Ściany zostały wykonane z grubych belek. Podłoga z desek. Na ścianach wisiały stare obrazy i lampy. Nie miały wielkiej wartości, ale zapewne były w rodzinie od pokoleń.

Zbliżyła się do kominka. Ogień grzał przyjemnie.

Wrócił Cole.

- Musisz się wysuszyć - zarządził. - W łazience znajdziesz kilka szlafroków. Przygotuję nam coś ciepłego do picia.

- Powinnam ci w czymś pomóc.

Strząsnął wodę z rękawów koszuli.

- O nic się nie martw - uspokoił.

Ale martwiła się. Zgodził się wziąć z nią ślub i nie chciała, by zmienił zdanie.

- Przeszkadzam ci w pracy? - spytała.

- W taką pogodę? - Wskazał za okno. - Masz zamiar być żoną zrzędą?

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się.

- Osusz się. Nie będę mógł się z tobą ożenić, jeśli złapiesz zapalenie płuc.

Poddała się. Zamknęła się w maleńkiej łazience i zdjęła mokre ubranie. Było tak ciasno, że poobijała sobie boki i omal się nie przewróciła. Ale w końcu znalazła ręcznik i wytarła się do sucha.

W szafce znalazła flanelowy szlafrok zapinany na guziki pod samą szyję. Rękawy musiała zawinąć, ale poza tym był bardzo wygodny. Swoje mokre ubranie powiesiła na zasłonie prysznicza.

To jej przypomniało, że powinna pojechać do Wichita Falls wymeldować się z hotelu. Nie mogła wciąż chodzić w rzeczach pożyczonych od Katie. No i powinna zwrócić auto do wypożyczalni.

Skrzywiła się na myśl o kablach, które wyrwała. Czy powinna się przyznać Cole'owi, czy poczekać i zapłacić za naprawę? Mimo wszystko woląa raczej poświęcić pieniądze, niż stracić szansę u Cole'a.

Wytarła do sucha włosy i poszukała grzebienia. Makijaż? Musiała się obejść bez niego.

Kiedy wróciła do pokoju, poczuła na sobie badawcze spojrzenie Cole'a. Odchrząknął.

- Chcesz skarpetki? - spytał, patrząc na jej bose stopy.

Spojrzała w dół na sięgającą prawie do kostek flanelę.

- Nic już nie może sprawić, żebym wyglądała mniej atrakcyjnie.

- Wyglądasz wspaniale.

- Wyglądam jak sierota z ochronki.

Zachichotał.

- Komu to przeszkadza? Na mnie i tak możesz liczyć, zapomniawsz?

- Tak, to wspaniale. Nigdy jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby mężczyzna oglądał mnie w najgorszym stanie i żeby mnie to nic nie

obchodziło. - Usiadła w fotelu i podwinęła pod siebie zmęczone jazdą konna nogi.

- To jest twój najgorszy stan? - spytał Cole.

Odgarnęła na bok mokre włosy i kiwnęła głową.

- Prawie.

- To przynajmniej po ślubie nie grożą mi żadne niespodzianki. -
Poszedł do łazienki.

Sydney opadła na poduszki. Cole stale zmuszał ją do myślenia o tym, co będzie po ślubie. Musiała zawieźć „Piorun Północy” do Nowego Jorku. Ale co będzie, jeśli Katie nie zajdzie szybko w ciążę? Czy powinni ciągnąć tę maskaradę? A jeśli tak, to czy powinna tutaj zostać?

Rozejrzała się po pokoju. Było bardzo ciasno. Zbyt ciasno?

Czajnik zaczął gwizdać. Odczekała kilka chwil, ale Cole się nie pojawił. Wstała więc, jęknęła, westchnęła i poszła do kuchni. I omal się nie zderzyli w drzwiach.

Był bez koszuli. Bosy. Guzik u dżinsów miał rozpięty.

- Przepraszam - powiedziała. Wyciągnęła rękę, by na niego nie wpaść, i oparła się o jego pierś.

On złapał ją za łokieć. Podtrzymał.

- Wszystko w porządku? - upewnił się.

Kiwnęła głową, chociaż serce waliło jej jak oszalałe. Ależ on jest przystojny!

Sięgnął za jej plecy i wyłączył piecyk. Potem położył dłoń na jej dłoni. Na swojej piersi. Miał delikatną skórę. I wyraźnie czuła miarowe bicie jego serca.

Pod palcami wyczuła bliznę. Długą i szeroką.

Niewiele wiedziała o jego życiu. Nie wiedziała, skąd się wzięła ta blizna i jakie jeszcze sekrety kryło to ciało, które podziwiała od dwóch dni.

Zanim zdążyła zadać pytanie, ich spojrzenia się spotkały. Miał oczy niebieskie jak ocean. Ostrożnie odsunął jej włosy z czoła. Zapragnęła przytulić się do niego, poczuć jego ciepło i siłę.

Pochylił głowę. Niżej. Nagle się zatrzymał.

- Czy tylko ja to czuję? - spytał. - Czy to jest głupi pomysł?

- To jest głupi pomysł... - Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

-Ale?

- Czy zdołamy się powstrzymać?

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cole zamierzał ją pocałować. Niemądra decyzja.

- Jesteś śliczna - wyznał szczerze. Pogłaskał ją po policzku.

- Ty też - odparła.

Uśmiechnął się. Wplótł palce w jej włosy.

Ku jego zaskoczeniu, pochyliła się i złożyła na jego piersi gorący pocałunek.

Gwałtownie wciągnął powietrze. A ona pocałowała go ponownie. Chwilę trwało, nim spostrzegł, że całowała jego bliznę. I te jej pocałunki sprawiły, że zniknął gdzieś stary ból, który nie opuszczał go od lat.

Uniósł do góry jej głowę i zajął w oczy o kolorze przydymionego nefrytu, w których dostrzegł blask namiętności. W tym momencie błyskawica przecięła niebo za oknem. Lunał rześisty deszcz. Załomotał o dach i szyby. Zerwał się wiatr.

W jego duszy też rozpętała się burza. Nie mógł już dłużej czekać. Pocałował ją.

Potem jeszcze raz i mocno przytulił. Pożądanie odbierało mu dech w piersi.

Sydney rozchyliła usta i jęknęła cicho. Ten dźwięk poruszył go do głębi. Ona tymczasem zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła go z całej mocy.

Upajał się jej zapachem. Pragnął, by ta chwila mogła trwać wiecznie.

Ale to było niemożliwe.

Świat istniał. Świat Kyle'a i Katie. I „Pioruna”. Powoli się wycofał.

Jej policzki pały, a oczy płonęły. Przypuszczał, że wyglądał tak samo. Poglaskała go po piersi.

- To chyba niezły początek - powiedziała.

- Nasz pierwszy pocałunek?

Pokiwała głową.

- Taaak. Szkoda, że Katie tego nie widziała.

- Masz rację. - Cofnął się o krok. - Teraz przynajmniej wiem, czego oczekiwać.

- Ja też.

- Więc nie był to taki zły pomysł.

- Był wspaniały.

- Tak. - Pokiwał głową. - Wspaniały. - Odetchnął głęboko. - Ja... hm...

- Wykonał nieokreślony gest w stronę drzwi sypialni. I prędko za nimi zniknął. Znalazł koszulę.

Wspaniały! Akurat. Teraz już nie mógł nawet o niej pomyśleć bez podniecenia.

Kiedy wrócił do salonu, siedziała skulona w fotelu z notatnikiem i długopisem w dłoniach.

- Powinniśmy porozmawiać rzeczowo - zaproponowała.

Stanął jak wmurowany. Nie potrafił tak prędko zmieniać nastrojów. Usiadł na kanapie i zajrzał jej w oczy.

- O czym chcesz rozmawiać? - spytał.

Założyła włosy za ucho. Była śliczna.

- Jak sądzisz, jak szybko możemy mieć to za sobą?

- A co? Spieszysz się?

- Tak. - Posłała mu zdumione spojrzenie. - Muszę jeszcze wiele przygotować.

- Myślę, że Katie nie uwierzy w miłość od pierwszego wejrzenia.

- Nie myślałam o dzisiejszym popołudniu. Przygotowania w galerii potrważą ze dwa tygodnie.

- Całe dwa tygodnie?

- Może trochę krócej.

Cole powoli wracał do równowagi. W końcu to był tylko jeden pocałunek. Nic się nie zmieniło.

- O co chodzi? - spytała.

- O nic.

- Na pewno?

- Oczywiście. Pokiwała głową.

- W porządku. Gdzie jest teraz „Piorun”?

- W sejfie u adwokata w Wichita Falls.

- Możemy go zabrać?

- Dopiero po ślubie.

Znów pokiwała głową.

- Muszę zatelefonować w kilka miejsc - uprzedziła.

- Kyle ma w domu telefon stacjonarny. I babcia. W dolinie nie ma zasięgu telefonii komórkowej.

- Nie masz telefonu?

Cole wzruszył ramionami.

- Wprowadziłem się tutaj po ślubie Kyle'a i Katie. Nie miałem czasu się tym zająć.

- To nic. - Przewróciła kartkę. - Dobrze. Jaki będzie nasz następny ruch w sprawie Katie?

- Chyba nie powinnaś robić notatek.

- Dlaczego?

Wysoko uniósł brwi.

- Ach. Tak. Nie możemy zostawiać śladów.

- Przestaje padać - zauważył Cole. - Może zawiozę cię do niej, żebyś mogła jej trochę poopowiadać, jaki jestem wspaniały?

Sydney się uśmiechnęła i Cole nareszcie odzyskał spokój.

- Niech pomyślę... - Zaczęła odliczać na palcach. - Jesteś przystojny. Mądry, wesoły i och... - Roześmiała się. - Mogę jej powiedzieć, że jesteś seksowny.

Cole nie był pewien, jak ma to przyjąć. Czy tak myślała, czy zamierzała skłamać? Ale przecież nie mógł spytać. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że jednak tak myślała.

Kiedy Katie się dowiedziała, że Sydney wciąż jest zameldowana w hotelu w Wichita Falls, zaproponowała, że zawiezie ją tam, żeby mogła zabrać swoje walizki. Wypożyczony samochód był kompletnie zepsuty i trzeba było zamówić transport z warsztatu. Bardzo kosztowna zabawa, pomyślała Sydney. Ale w ten sposób miała okazję odbyć podróż sam na sam z Katie. I będzie mogła opowiedzieć jej o swoim zauroczeniu Cole'em.

Inna rzecz, że nie wymagało to od niej wielkiego wysiłku. Cole potrafił całować, jakby świat miał za chwilę przestać istnieć. Sydney musiała przyznać, że bardzo chciałyby to powtórzyć. Jak najszybciej.

Następnego ranka jechały półciężarówką Katie po wyboistej drodze.

- Tam na wzgórzu jest dom babci - pokazała Katie. - Tam wychował się ojciec Kyle'a i Cole'a, a oni przez pewien czas tam mieszkali. Kiedy przyszli na świat, ich ojciec zbudował dom, w którym teraz mieszkamy.

- Cole powiedział, że jego rodzice nie żyją.

Katie kiwnęła głową.

- Katastrofa lotnicza.

- Och, nie. - Serce Sydney ścisnęło się boleśnie. Przypomniał jej się tamten okropny dzień, kiedy się dowiedziała, że jej rodzice zginęli w pożarze.

- Cole też był w tym samolocie - ciągnęła Katie. - Tylko on przeżył.

- Nic mu się nie stało?

- Otarcia, skaleczenia, połamane żebra. Miał bardzo dużo szczęścia.

- Ale stracił rodziców. - I nosił szramę, która przypominała mu o wszystkim. Jak to dobrze, że go o nią nie spytała.

Katie wolno pokiwała głową.

- To jest bardzo dobry człowiek, Sydney.

- Wiem.

- Wiele przeszedł.

- Tak, to prawda. - Sydney jak mało kto potrafiła zrozumieć ból po stracie rodziców.

Katie chrząknęła.

- Mogę zrozumieć...

Sydney obróciła głowę, zaintrygowana dziwnym brzmieniem głosu Katie.

- Mogę zrozumieć, że możesz mieć ochotę... uwieść go, by zdobyć broszkę...

- Katie!

- Nie zamierzam cię osądzać. Zdaję sobie sprawę, jakie to dla ciebie ważne.

-Ja nigdy...

- Jak już powiedziałam, nie zamierzam cię osądzać. Kobiety przez całe życie muszą dokonywać wyborów. - Popatrzyła na Sydney smutno. - Nie chcę tylko, żeby znów cierpiał.

Sydney gwałtownie potrząsnęła głową.

- Przez cały czas jestem z nim absolutnie szczerą.

- Widziałam, jak na ciebie patrzył.

- I ja go lubię, Katie. - Sydney poczuła wyrzuty sumienia.

- Zakochał się w tobie.

- Może. Nie wiem. Nie wiem, co z tego będzie. - Jej głos zabrzmiał szczerze. - Ale nie okłamię go. Przyrzekam.

- To jest dobry człowiek - powiedziała Katie cicho.

- To jest bardzo dobry człowiek - powtórzyła Sydney. - I ma szczęście, że ma ciebie w rodzinie.

Katie uśmiechnęła się słabo. Sydney dotknęła jej ramienia.

- Mówię poważnie, Katie. Jesteś niezwykłą bratową. Cole doskonale wie, jak mi zależy na „Piorunie”. Jeśli cokolwiek się między nami zdarzy, oboje wejdziemy w to z szeroko otwartymi oczami.

Katie otarła policzek wierzchem dłoni.

- Myślisz, że jest dla was jakaś szansa? Sydney westchnęła i odwróciła się do okna.

- Myślę, że moglibyśmy stworzyć bardzo interesujący związek.

Odpowiedzi Sydney musiały zadowolić Katie, wieczorem bowiem zaproponowała, żeby wszyscy razem zjedli kolację u babci. Niedzielna kolacja u babci była rodzinną tradycją. I doskonałą okazją przedstawienia Sydney.

Sydney była przygotowana na wszystko. Wiedziała od Cole'a, że babcia stanie na głowie, by ich wyswatać.

Nieco się zdziwiła, gdy ujrzała szczupłą i sympatyczną starszą panią w słomkowym kapeluszu i roboczych rękawicach pracującą w ogrodzie.

Kiedy się zjawili, poprowadziła ich do domu. Sydney z zainteresowaniem rozglądała się po starym wnętrzu.

- Pani dom jest bardzo piękny - oceniła. Babcia obejrzała się przez ramię.

- Nigdy nie myślałam o nim w ten sposób - powiedziała.

- Jest cudowny - piała z zachwytu Sydney, widząc olbrzymi telewizor i komputer wśród starych mebli. Ileż dałaby, by móc sprawdzić swoją pocztę elektroniczną!

- Sydney zostanie u nas na kilka dni - uprzedziła Katie. - Interesuje ją „Piorun Północy”.

Sydney popatrzyła na nią podejrzliwie. Nie była pewna, czy Katie próbowała w ten sposób ostrzec starszą panią.

- Musisz poślubić Cole'a, żeby dostać „Piorun” - powiedziała babcia.

- Wiem - odparła Sydney.

Przeszły przez salon, kolejny ośmiokątny hol i weszły do kuchni.

- Dobrze, że jest do wzięcia - stwierdziła babcia.

- Też mi to powiedział.

- Naprawdę? - Babcia odwróciła się i przechyliła na bok głowę.

Sydney przytaknęła ruchem głowy. Starsza pani uśmiechnęła się. Napełniła emaliowany garnek wodą.

- Jesteś z Nowego Jorku, tak?

-Tak.

- Podoba ci się tu, w Teksasie?

- Jak dotąd bardzo.

- To dobrze. Matka Cole'a nie żyje, wiesz o tym?

- Katie mi powiedziała.

- Jego ojciec też. Mój Neil.

- Bardzo mi przykro.

- Ale ja wciąż tu jestem. I zawsze uważałam, że mam do wykonania pracę przy moim niesfornym wnuku.

- Myśli pani o Cole'u czy Kyle'u?

- O Cole u, oczywiście. - Zawahała się. - Pomożesz mi? - Głową wskazała miskę świeżo zerwanych jagód.

- Z przyjemnością - odparła Sydney.

- Świetnie. - Starsza pani mrugnęła porozumiewawczo. -Ty umyj jagody, a ty, Katie, ściągnij makutę.

Katie wspięła się do wiszącej szafki.

- Babki naszej babci są sławne w tej części Teksasu - powiedziała.

- Przepis to nasz rodzinny sekret - dodała babcia - przekazywany z pokolenia na pokolenie.

- Nie mogę się doczekać, żeby spróbować. - Sydney zawinęła rękawy.

- Babciu? - odezwała się Katie. - Opowiesz Sydney, dlaczego „Piorun” zawsze dostaje się żonom?

- Opowiem.

- Uwielbiam tę historię - rzuciła Katie.

- Cała sprawa sięga połowy czternastego wieku. - Babcia sięgnęła po puszkę z mąką.

Sydney poruszyła się niespokojnie. Przepadała z takimi rodzinnymi opowieściami. Uważała, że są tak samo ważne jak zabytki.

- W rodzinie narodziło się kolejno kilku niedobrych najstarszych synów - ciągnęła babcia. - Powstało zagrożenie, że jeśli któryś z tych młodych łajdaków dostanie „Piorun” w swoje ręce, sprzeda go, by mieć pieniądze na dziewczki i piwo.

Sydney włożyła jagody pod kran.

- Stary Hendrik chciał mieć pewność, że zdobędą pieniądze w sposób godny wikinga, czyli napadając i rabując.

Sydney gorączkowo rozglądała się za jakimś piórem. Oczywiście powinna zapytać o zgodę, ale pragnęła zapisać tę historię dla muzeum.

- To dlatego Cole nie może dostać broszy przed ślubem? -, spytała.

- Cole nie może jej przepuścić na piwo i dziewczki. - Babcia uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo.

- Zna pani więcej takich historii? - spytała Sydney.

- Kilka.

- Chciałabym je usłyszeć.

- A ja chętnie opowiem. Musimy się kiedyś spotkać. Babcia wyjęła z szuflady walek.

- Jagody gotowe? - rzuciła.

Sydney prędko skończyła mycie i wysypała owoce na czystą ściereczkę.

- Co to mówiłaś? - zagadnęła babcia. - Masz zamiar zabrać się za mojego wnuka?

W oddali rozległ się trzask frontowych drzwi.

- Babciu? - usłyszały głos Cole'a.

Babcia uśmiechnęła się do Sydney.

- Ten chłopak potrzebuje kobiety silnej i inteligentnej -powiedziała scenicznym szeptem.

- Tu jesteście. - Cole stanął w drzwiach. Uciskał babcie, skinął głową Katie, a potem objął Sydney.

- Jak wycieczka? - spytał.

- Kupiłam kapelusz i dzinsy - pochwaliła się Sydney. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że wcale nie musiała udawać podniecenia jego obecnością.

- Muszę to zobaczyć. - Uścisnął ją mocniej i odwrócił się do babci. - Potrzebujesz coś z ogródka?

- Ziemiaki i marchewkę.

- Mogę ci pomóc? - zaproponowała Sydney.

- Oczywiście.

Cole otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

Przed oczami Sydney roztoczył się wspaniały widok. Widziała dach chaty Cole'a, wijącą się dolinę, jezioro i dom Kyle'a i Katie, a na horyzoncie góry sięgające turkusowego nieba.

- Uważaj. Schody są strome - usłyszała za plecami głos Cole'a.

Położyła dłoń na poręczy i zeszła do ogrodu.

- Jak mi idzie? - spytał cicho Cole.

- Twoją babcię mamy po naszej stronie. Ale Katie uważa, że próbuję cię uwieść, żeby zdobyć broszkę.

- Skąd wiesz?

- Sama mi to powiedziała. Oskarżyła mnie, że udaję zakochaną, żeby zdobyć „Piorun”.

Cole pokręcił głową. Objął ją w talii i poprowadził w głąb ogrodu.

- A to ci dopiero - sapnął.

- Właśnie. - Ciepło jego dłoni na plecach działało niepokojąco. Ale jednocześnie dawało poczucie pewności i siły. Było to bardzo miłe.

- Co jej powiedziałaś?

- Przysięgałam na wszystko, że jestem z tobą absolutnie szczerą.

- Grzeczna dziewczynka. - Uśmiechnął się. - Jesteś nie tylko ładna.

Zatrzymała się. Czy to miał być tylko komplement?

- Dziękuję. Mam może mózg, ale nie znam się na ogrodnictwie. Co robimy?

- Myślę o czymś niemądrym i romantycznym.

- Słucham?

- Możesz być pewna, że obserwują nas przez okno. - Zerwał z krzaka pomidor, podrzucił do góry, złapał i odwrócił się do niej z diabelskim uśmiechem.

Cofnęła się o krok.

- To nie wygląda zbyt romantycznie, Cole.

- Drażnię się z tobą. Zakochani chłopcy zawsze tak robią.

- Przestań.

Zrobił ku niej kolejny krok.

- Jest duży, dojrzały i bardzo soczysty. Cofnęła się jeszcze o krok i potknęła się.

- Cole!

Rzucił się naprzód. Sydney krzyknęła i zacisnęła powieki. Spodziewała się, że zaraz będzie miała twarz umazaną pomidorem, lecz on chwycił ją jedną ręką w pasie i mocno przytulił. Pomidor trzymał w bezpiecznej odległości.

Zakochani chłopcy. Cole grał tę rolę wiele, wiele razy.

Pocałował ją w szyję. Ciepło jego warg i powiew oddechu sprawiły, że kolana jej zmiękły. Musiała chwycić go za ramię, by nie stracić równowagi.

- Zgrabne posunięcie - szepnął. I znów ją pocałował.

Och, nie! Jej hormony zbudziły się do życia. Odchyliła głowę, by ułatwić mu dostęp. W wysokiej trawie świerszcze dzwoniły przenikliwie.

- Sydney - wyszeptał. Odwróciła się i ich usta się zetknęły.

W mgnieniu oka świat skurczył się do nich dwojga. Myślała o tym przez cały dzień, marzyła. Każda chwila bez Cole'a była udawką.

Nie potrafiła tego zrozumieć, ale nie mogła zaprzeczyć, że jego pocałunki odbierały jej zmysły. Świat zaczynał wirować. Otoczył ją ramionami i powoli położył na miękkiej trawie.

Zacisnęła powieki. Poranne słońce grzało. Cole leżał na niej i całował. Niech to trwa wiecznie, myślała. Niech...

Ktoś chrząknął tuż obok.

Sydney natychmiast otworzyła oczy. Niemal tuż przy twarzy zobaczyła wysokie znoszone buty, a daleko w górze kowbojski kapelusz Kyle'a.

- Doceniam wasze zaangażowanie - cedził słowa - ale zastanawiam się, czy nie przesadzacie.

Cole wstał i podał rękę Sydney.

- Przepraszam - bąknęła speszona, poprawiając spódnicę.

Dokąd właściwie zawędrowały ręce Cole'a? Co Kyle zobaczył?

- Staramy się robić swoje - stwierdził Cole.

Kyle się nie uśmiechnął.

- Następnym razem idźcie do pokoju.

- Dlaczego? - zdziwił się Cole.

Kyle prychnął tylko i się odwrócił. Cole poklepał Sydney po plecach.

- Pora ruszać, partnerko - rzucił.

Poprawiła włosy.

- Nie ma sprawy - odparła.

Jeśli Cole potrafił być tak cudowny, udając, pomyślała, to szczęśliwa będzie jego wybranka.

Cole podniósł z ziemi kapelusz.

- Ziemiaki i marchewka - powiedział.
- Uważasz, że przesadziliśmy? - zaniepokoiła się.
- Skąd. Było bardzo romantycznie.
- To znaczy, że uważasz, że dobrze robimy?

Klęknął między grządkami.

- Poza tym, że Katie robi się coraz bardziej podejrzliwa, wszystko idzie zgodnie z planem.

Sydney obejrzała się za Kyle'em wchodzącym do domu.

- Wiesz - powiedziała. - Wszyscy troje mnie wykorzystujecie.
- Co masz na myśli?
- Katie chroni ciebie przede mną. Kyle chroni swoją żonę przed stresem. A ty odłożyłeś na bok swoje zasady, żeby pomóc im obojgu.

- Czy to coś złego?

- A co dobrego? Ja staram się tylko ratować moją posadę.

Cole podniósł się, otrzepał ręce i ruszył w głąb ogródka.

- Twoja posada jest zagrożona?

Pokiwała głową.

- Taaak - przyznała niechętnie. - Jestem na okresie próbnym. A tamten facet...

Urwała. Potrząsnęła głową. Nie mogła wciąż myśleć o Bradleyu.

- Prawda jest taka, że nie spełniam oczekiwań muzeum. Jeżeli mi nie wyjdzie z „Piorunem”, mogę się pożegnać z pracą.

- Potrzymaj. - Podał jej duży pęczek marchwi. - Wygląda na to, że pomagam i tobie, i Katie, tak?

- Tak. - Próbowała wymyślić, co ona mogłaby zrobić dla Cole'a. - Przyjedziesz do Nowego Jorku obejrzeć wystawę?

Wzruszył ramionami. Poszedł w przeciwległy kąt ogródka.

- Możliwe - odparł. - Jeśli nadal będziemy trwać w tej mistyfikacji.

Sydney przyglądała się Cole'owi i próbowała go sobie wyobrazić w swoim mieszkaniu. Był za duży na Nowy Jork. Zbyt surowy, zbyt dziki. Jego miejsce było tu, wśród koni

I rozległych przestrzeni.

Poczuła dreszcz. Wciąż pragnęła go pocałować. To już zaczynało być obsesją.

- Nigdy nie znajdziesz żony, jeśli nie będziesz miał domu jak się patrzy - powiedziała babcia i położyła na stole gruby katalog.

Cole siedział wraz z Sydney na kanapie-huśtawce ustawionej na werandzie. Obejmował ją ramieniem i bawił się jej włosami.

- Czyżby? - prychnął.

- Od miesiący cię proszę, żebyś przejrzał projekty. Doskonale się składa, że jest z nami Sydney. Będziemy mogli poznać opinię kobiety.

- Inną niż twoja i Katie? - Cole nawet nie sięgnął po katalog. Miał na co wydawać pieniądze. A chata, w której mieszkał, wystarczała mu całkowicie.

- Świetny pomysł - zawołała Katie i przysunęła się z krzesłem bliżej. Z błyszczącym wzrokiem otworzyła katalog.

- W stylu Przylądka Cod czy w kolonialnym? - spytał Kyle i oparł się na ramionach żony.

Cole posłał mu groźne spojrzenie.

- Nie potrzebuję nowego domu - rzekł ponuro.

- Żartujesz, prawda? - spytała Katie. - Powiedz mu, że żadna szanująca się kobieta nie zechce mieszkać w takiej chacie - zwróciła się do Sydney.

Sydney zmieszała się. Cole ścisnął jej dłoń.

- Stawiacie Sydney w niezręcznej sytuacji - wypomniął.

- Jestem pewna, że nie ma nic przeciwko temu - powiedziała babcia. -
Chcielibyśmy tylko posłuchać rady światowej kobiety, kochanie.

Sydney zacisnęła usta. Cole poszukał wzrokiem pomocy u brata, ten jednak tylko się szeroko uśmiechnął.

- Potrzebna mi nowa stodoła - argumentował Cole. - Muszę rozbudować szopę na narzędzia i dokupić osprzęt do kombajnu. Ustaliliśmy to już na wiosnę.

- Nie. To ty ustaliłeś to na wiosnę - zaprotestowała Katie. - My uważaliśmy, że potrzebny ci nowy dom.

Cole wyciągnął rękę i zamknął książkę. Zgodził się na fikcyjne małżeństwo. Zgodził się udawać, że to wszystko jest naprawdę. Ale nie miał zamiaru budować domu tylko po to, by chronić Katie przed stresem.

- Chata jest w porządku. - Starał się mówić spokojnie. - Nawet gdybym musiał się ożenić - spojrzał na Sydney - wystarczyłaby na jakiś czas, prawda?

- Ja... - Przełknęła ślinę. Katie otworzyła katalog.

- Teraz ty stawiasz Sydney w niezręcznej sytuacji - zauważyła. - Skoro chata jest taka dobra, to my się tam wprowadzimy, a ty zamieszkaż w domu.

- Nie bądź śmieszna.

- Co w tym śmiesznego?

- Was jest dwoje. A ty jesteś kobietą.

- Mówisz jak seksista.

- Pozwoliłbyś zamieszkać swojej żonie w chacie? - zwrócił się Cole do brata.

- Nie - odparł Kyle. - Ale wygląda na to, że ty pozwoliłbyś swojej.

Cole otworzył usta, lecz zabrakło mu argumentów. Cholerny Kyle!

- A co z dziećmi? - spytała Katie. - W chacie na pewno nie ma dla nich miejsca.

Wszystkie oczy skierowały się na Sydney.

- Można coś dobudować? - bąknęła. Katie parsknęła śmiechem.

- W stylu Przylądka Cod czy w kolonialnym?

- Nie wstydź się. - Babcia poklepała Sydney po ręce. - Bardzo liczymy na twoją opinię.

Sydney zawahała się. Czowała na sobie spojrzenia całej rodziny.

- Ja... zawsze podobały mi się domy w stylu Przylądka Cod.

- Strona trzydzieści dziewięć - powiedziała babcia.

- Bardzo mi pomogłaś - rzekł Cole z przekąsem. Spacerowali po ranczu w świetle księżyca. Po początkowych oporach Sydney z ochotą włączyła się w planowanie domu.

- Staralam się nie odzywać zbyt dużo.

- Nie zauważyłem.

- Mam udawać zakochaną w tobie, więc próbowałam się zachowywać jak potencjalna przyszła żona. Odpowiadałam tylko na pytania twojej babci. Potem wymienialiśmy się przepisami...

- Interesują cię przepisy kulinarne?

- Oczywiście. I stosuję je. Rzecz w tym, że byłoby podejrzone, gdybym nie chciała uczestniczyć w projektowaniu mojego przyszłego domu.

- A teraz będą chcieli, żebym ten dom zbudował.

- No to co? Chata się rozsypuje.

- Po co mi wysoki na dwa piętra ośmiokątny salon?

- Ja nie chciałam ośmiokątnego salonu. To był pomysł Katie.

- Ale to ty chciałaś okna w dachu.

- Są urocze.

- Wieżyczka też?

- Dodaje smaku.

- A po co mi wanna z tymi wszystkimi udziwnieniami?

- Do kąpieli?

- Bardzo śmieszne. Nie potrzebuję strumieni z bąbelków pod tyłkiem, żeby się umyć.

- A próbowałeś tego kiedyś?

-Nie.

Uśmiechnęła się i dała mu kuksańca.

- Nie wiesz, co tracisz, kowboju.

- A ty wiesz?

- Tak się składa, że mam taką wannę.

Przez głowę Cole'a przemknęły niezwykle obrazy. Sydney w wannie...

- Cole? Chrząknął.

-Tak?

- Nigdy się nie zastanawiałeś nad tym, że może istnieją jakieś głębsze, psychologiczne przyczyny, dla których narzucasz sobie takie ograniczenia?

- Nie. - Nie chciał o tym rozmawiać.

- Mieszkaś w chacie, w której jest za mało miejsca dla jeszcze jednej osoby.

To była prawda.

- Dom zostawiłem Kyle'owi.

- I nigdy nie byłeś żonaty.

- Na twoje szczęście.

- Rozumiem. Ale trudno mi uwierzyć, żeby kobiety się tobą nie interesowały. Gdybyś tylko zechciał...

- Wiele kobiet się mną interesuje. - Poczł się dotknięty. Nie bardzo, ale jednak.

- To czemu nie założyłeś rodziny?

- Tak się złożyło.

- Nie wierzę.

- To nie był mój wybór.

- Kobiety ci odmawiały?

Nie odpowiedział. Zastanawiał się tylko, kiedy przestanie go wypytywać.

- No, Cole - ponagliła.

- A czemu ty nie wyszłaś za mąż? Jej odpowiedź zaskoczyła go.

- Nikt mi się nie oświadczył.

- A chciałaś tego kiedykolwiek?

- Pytasz, czy byłam zakochana?

-Tak.

- Nie sędę.

- Nie wiesz? - zdziwił się.

Pokręciła głową.

- A ty? - spytała.

- Myślę, że nie.

Uśmiechnęła się i znów dała mu kuksańca.

- Ale nie jesteś pewien?

- Wiesz - popatrzył na nią uważnie - to bardzo trudne. Być tego pewnym.

-I dlatego nigdy się nikomu nie oświadczyłeś?

- Nie. Sprawy nigdy nie zaszły aż tak daleko. Prawdę mówiąc, wszystkie odchodziły, kiedy tylko mnie poznały.

- Niemożliwe. - Roześmiała się. - To ty je zostawiałeś. Miał ochotę ją objąć, ale się powstrzymał. Potrząsnął tylko głową.

- W głębi duszy jestem obrzydliwym samolubem.

- Nieprawda. Wprost przeciwnie. Poświęcasz się dla wszystkich dookoła.

- Skończyłaś może studia psychologiczne? Powoli wchodzili po schodkach na werandę.

- Skończyłam historię sztuki.

- Świetnie. - Otworzył drzwi i zrobił jej przejście. - Będziesz mogła udekorować wieżyczkę, a ja nie będę musiał wysilać umysłu.

- Twój umysł zaczyna mnie fascynować.

- Nie chcę nowego domu, ponieważ go nie potrzebuję. To jest ranczo, miejsce pracy, nie dzielnica Dallas. Za chwilę zaczną się upominać o basen.

- Trochę się do tego przyczyniłam, prawda?

- Nie przyczyniłaś się do niczego - warknął.

- Przepraszam. - Oczy zrobiły jej się wielkie ze zdumienia. Cole potrząsnął głową. Podeszedł do niej bliżej.

- Nie. To ja przepraszam.

- Nie powinnam się wtrącać.

- To prawda. Ale wciąż gramy ten głupi spektakl. - Odetchnął głęboko.

- Ach, Sydney. Powinniśmy byli przewidzieć, że wszystko się skomplikuje.

Uśmiechnęła się niepewnie. W świetle lampy jej wargi miały kolor burgunda. Szmaragdowe oczy lśniły. Cole znów zapragnął ją pocałować.

- Bardzo się skomplikuje - szepnął.

Zachęcająco rozchyliła wargi. Powinien był wiedzieć, że jeśli tylko zostanie z nią sam na sam, to będzie musiało się tak skończyć. Ujął jej twarz w dłoń i przyciągnął bliżej. Wpił się ustami w jej wargi. Zadygotał.

Obserwował ją cały dzień i przez cały dzień jej pragnął.

Całował coraz zachłanniej, a ona odpowiedziała tym samym. Było dobrze. Jak nigdy przedtem, z żadną kobietą.

Przestał myśleć o „Piorunie”. Przestał myśleć o Katie. Przestał myśleć o planach i projektach architektonicznych. Była tylko Sydney.

- Cole - szepnęła. Zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Wiem. - Pocałował jej oczy.

- To się naprawdę skomplikowało.

- To nieuniknione.

- Może - powiedziała po krótkim wahaniu.

- Na pewno. - Wsunął rękę pod jej bluzkę i zaczął głaskać po plecach.

Miała ciepłą, gładką skórę. Była skarbem, na który nie zasłużył.

- Mogę przestać - szepnął, całując ją w kark. - Powiedz tylko, kiedy.

- Jeszcze nie.

- Dzięki Bogu - westchnął.

Poczuł jej dłoń na swojej piersi. Guzik po guziku rozpięła mu koszulę.

Pocałował ją w czubek głowy. Przytulił. Pragnął zanieść ją do łóżka, całować, rozmawiać z nią, kochać się z nią. Po prostu oddychać tym samym co ona powietrzem.

Całowała go po piersi. Jej język zostawiał na jego skórze płonący ślad.

- Daleko się posuwamy - rzucił ostrzegawczo.

- Posuńmy się jeszcze dalej. - Pocałowała go znowu. Odsunął się i spojrzał jej w oczy.

- Chcesz się ze mną kochać? - spytał. - Tak.

- Na pewno? Poglaskała go po piersi.

- Masz rację - powiedziała. - To jest nieuniknione.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ze strachu, że Cole mógłby odmówić, Sydney aż wstrzymała oddech.

- Pragnę cię tak bardzo - usłyszała.

Odetchnęła z ulgą.

- Przez sekundę mnie przestraszyłeś, kowboju.

Pogłaskał ją po głowie.

- Nie bój się. Nigdy nie musisz się bać.

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystkie jej obawy uleciały.

Nigdy przedtem nie spotkała człowieka równie uczciwego i szczerego. Owszem, stał jej na drodze do „Pioruna”, ale robił to przez szacunek dla rodziny.

Cole był człowiekiem, któremu można było ufać.

Tęskniła za uczciwością.

Pragnęła go, a on pragnął jej.

Spokojnie poddała się doznaniom chwili. Jego oczy płonęły. Czowała, że nie było na świecie bardziej pożądanej kobiety. Powieki robiły jej się coraz cięższe. Ujął w dłonie jej twarz. Całował po oczach. Każda komórka jej ciała drżała z rozkoszy. Każde dotknięcie jego dłoni rozpałało jej skórę.

Objęła go i przytuliła mocno. Całym ciałem czuła jego ciepło. A on podniósł ją lekko jak piórko. Jeszcze nikt jej nie nosił na rękach. Kiedy ruszył przed siebie, poczuła żal, że do sypialni było tak blisko.

- Potrzymaj mnie chwilę - wyszeptała, kiedy dotarli na miejsce.

- Proszę bardzo.

- Czy mógłbyś zatrzymać czas? Teraz. Natychmiast.

- Chciałbym móc.

- Postaraj się. Bardzo.

Roześmiał się.

- Nie będę się spieszył.

- To pewnie nic trudnego.

- Nieprawda. To bardzo trudne.

- Ale zrobisz to dla mnie?

- Dla ciebie zrobię wszystko. Powiedz tylko słowo.

Wpuść mnie do swojego świata, pomyślała. Nie tylko do łóżka, ale także do serca i duszy.

Ale to było niemożliwe. Była tylko ta chwila. I nic więcej.

- Rozbierzmy się - powiedziała. Starła się bardzo, by zabrzmiało to lekko.

- Zgoda. Ale to może wszystko przyspieszyć.

- To może ja się rozbiorę?

- Tak będzie jeszcze gorzej - powiedział głucho.

- No to poigrajmy trochę z ogniem. - Zaczęła ściągać mu koszulę z ramion.

Pomalutku postawił ją na podłogę.

- Sydney, ja igram z ogniem, odkąd cię ujrzałem. Cofnęła się o krok i złapała za brzeg swojej koszulki. Zdejmowała ją powoli, rozkoszując się wyrazem jego twarzy. Blaskiem jego oczu.

Nozdrza mu drgały. Nie odrywał wzroku od jej koronkowego stanika. Bez słowa zrzucił koszulę.

Z podziwem patrzyła na jego muskularną sylwetkę.

- Myślisz, że pragniemy tego tak bardzo, bo wiemy, że nie powinniśmy tego robić? - spytała.

- Tak. - Kiwnął głową. - To prawdopodobnie nie ma żadnego związku z tym, jak wyglądasz, smakujesz i pachniesz.

- Właśnie.

- Co, właśnie?

- Jak pachniesz. - Źle?

Potrząsnęła głową. Podeszła bliżej i wtuliła twarz w jego pierś.

- Dobrze - westchnęła. - Wspaniale.

- Ty też. - Rozpiął guzik jej džinsów.

Uśmiechnęła się i wspięła na palce, a kiedy odpinał suwak jej spodni, pocałowała go w usta.

Zsunął z niej spodnie i szybko pozbył się swoich. Potem popchnął ją delikatnie na łóżko i obsypał pocałunkami.

Poczuła jego dłoń na brzuchu. Opuszkami palców zataczał kółka wokół pępka. Zanim jednak zdołała rozsmakować się w tych pieszczotach, pochylił się i chwycił w usta jej naprężoną sutkę.

Jęknęła. Wplotła palce w jego włosy. Fale rozkoszy w jej ciele towarzyszyły każdemu dotknięciu jego palców.

Nie zanosilo się na długie i powolne pieszczoty.

- Cole - wysapała.

- Jesteś wspaniała.

- Wol... niej... - rzuciła błagalnie.

- Nie ma mowy - odparł z uśmiechem.

Kiedy jego dłoń wsunęła się między jej uda, wyprężyła się i uniosła biodra.

- Cole!

- To jeszcze nie koniec.

-Ale...

Uniósł się. Spojrzał jej w oczy. Pocałował.

- To jeszcze nie koniec. Obiecuję.

Przymknęła oczy. Nie było już odwrotu. Podążała tam, dokąd prowadził ją Cole. Jej świat zawirował.

Wszedł w nią, powoli, jak obiecał. I po chwili miarowo poruszali się jednym rytmem.

Fala gorąca przeniknęła ją na wskroś. A on uśmiechnął się. Pocałował. I przyspieszył.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła go do siebie z całej siły. Nikt dotąd jej tego nie dał. Nikt przedtem nie zabrał jej do raju.

Kiedy odzyskała zdolność mówienia, przestraszona, że może mu wpaść do głowy jakaś głupia, godna dżentelmena myśl, powiedziała:

- My jeszcze... hm... nie skończyliśmy, prawda?

Potrząsnął głową. Odsunął włosy z jej twarzy.

- Och, kochanie. Dopiero zaczęliśmy.

- Dobrze się czujesz? - spytał po pewnym czasie, całując jej zroszone potem czoło.

Westchnęła.

- Nie wiem, czy „dobrze”, to właściwe słowo - powiedziała słabo.

- Sprawilem ci ból?

- Nie. Było wspaniale.

„Wspaniale” to jest właściwe słowo. Pocałował brzeg jej ucha. Uniósł się trochę.

- Kiedyś doprowadzisz mnie do zawału serca - stęknął.

- Za bardzo się spieszysz - powiedział Kyle.

Stukał młotkiem, by usunąć resztki stłuczonej szyby w oknie szopy na narzędzia. Nowa szyba stała oparta o ścianę.

Nawet nie wiesz, jak szybko wszystko idzie, pomyślał Cole.

- Myślę, że wszystko idzie dobrze - powiedział głośno. Wziął torbę monterską i nasypał gwoździ do przegródki.

- Najpierw tarzacie się w trawie, a teraz po północy zabierasz ją do domu.

Twarz Cole'a pojaśniała z zadowolenia.

- Słyszysz samego siebie? Mówisz, jakbyś był jej ojcem.

- Mówię tylko, że jeśli trochę nie przyhamujesz, Katie tego nie kupi.

Cole sięgnął po obcęgi i zaczął wyciągać z framugi stare gwoździe.

- Musimy znaleźć jakiś kompromis. W sprawie „Pioruna” Sydney stoi pod ścianą.

-I ty się tym przejmujesz? Ty, który dwa dni temu chciałeś wyrzucić ją z domu?

- Trochę ją poznałem. Wtedy nie wiedziałem, że chodzi o jej pracę.

Kyle znieruchomiał.

- Powiedziała ci, że chodzi o jej pracę?

-Tak.

Kyle wbił w niego zniecierpliwione spojrzenie.

-Co?

- Cole, co ty wyrabiasz?

Czyżby Kyle się domyślił, co zaszło ostatniej nocy?

- Udaję zakochanego w Sydney.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Co sugerujesz?

- Sugeruję, żebyś na siebie spojrzął.

- Daj spokój - zachnął się Cole. - Przecież to był twój pomysł, braciszku.

- Właśnie - przyznał Kyle ponuro. - To chyba nie był dobry pomysł.

- Zły? Zaraz. Czegoś nie rozumiem.

- Ona się tobą bawi.

- Bawi się? Jak? Jest szczerą i otwartą we wszystkim. -W odróżnieniu od niego samego i Kyle a.

- Czyżby?

-Tak!

- Przemyśl to, Cole. Robi dokładnie to, po co tu przyjechała.

- O, tak. Taka była umowa.

- Umowa była taka, że Katie miała pomyśleć, że Sydney się w tobie zakochała. Ale na razie to ty myślisz, że Sydney się w tobie zakochała.

- Nie. Nieprawda.

- Owszem, prawda. Czy zastanawiałeś się, jakie są szanse, że to prawda?

Tak Cole myślał o tym minionej nocy. Doszedł do wniosku, że jednak nie była to miłość. Że było to tylko pożądanie.

Ale nie mógł przecież powiedzieć Kyle'owi, że z nią spał.

- Wszystko jest pod kontrolą - zapewnił go.

- Chcesz mi wmówić, że się w niej nie zadurzyłeś?

- Udajemy dla Katie.

- Przez piętnaście lat mieszkaliśmy w jednym pokoju, Cole. Powiem wprost: marny z ciebie aktor.

- A teraz co sugerujesz? Mam wszystko odwołać? Wygonić ją?

- Chcę tylko, żebyś na siebie uważał. Nie ufaj jej za bardzo.

- Zgoda.

- Mówię poważnie.

- Powiedziałem: zgoda.

- Pomyśl o konsekwencjach.

- Czy nie rozumiesz słowa „zgoda”?

Owszem, myślał o konsekwencjach, bo nie znał Sydney. Teraz miał wrażenie, że ją poznał. Ale ona miała swoje plany, które zakładały doprowadzenie go do ołtarza.

Być może nie była słodka i niewinna, jak sądził, lecz zimna i wyrachowana. Może pragnęła go, a może tylko się nim bawiła.

Co do jednego Kyle miał rację. Jakie były szanse, żeby taka dziewczyna jak Sydney poszła do łóżka z takim facetem jak Cole już po dwóch dniach znajomości?

Katie zaproponowała Sydney, żeby zadzwoniła do muzeum z telefonu Kyle a. Kiedy wybierała numer Gwen Parks, serce waliło jej jak młotem.

- Gwen Parks - usłyszała znajomy głos.

- Cześć, Gwen. Tu Sydney.

- Witaj, Sydney - ucieszyła się. - Jak tam łowy? Sydney wzięła głęboki oddech.

- No, cóż. Znalazłam to.

Cisza.

- Co to jest to? - usłyszała po chwili.

- „Piorun Północy”.

Gwen krzyknęła tak głośno, że Sydney musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

- Naprawdę ją znalazłaś? Gdzie jesteś? Gdzie ona jest? Jak to się stało?

- Jestem w Teksasie.

Znowu cisza.

- Kto mógł przypuszczać - powiedziała Sydney.

- Przywiozłaś ją z Europy?

- Była tu przez cały czas.

- O rety! Kiedy wracasz?

- Jeszcze nie teraz. - Sydney zniżyła głos. - To skomplikowana sprawa.

Czy możesz już zacząć przygotowywać ekspozycję?

- Bez ciebie?

-Tak.

- Oczywiście. Ale to prawda, że masz „Piorun”, tak?

- Jest w biurze adwokata w Wichita Falls. Ale nikomu ani słowa! Bradley Slander wciąż mnie tropi. Nie chcę, żeby coś zwał, dopóki nie dopnę wszystkiego na ostatni guzik.

- To jak mam zacząć przygotowywać ekspozycję, jeśli nie wszystko jest jeszcze dopięte?

Sydney owinęła kabel od telefonu wokół ręki.

- Jest. W pewnym sensie. Muszę tylko... wyjść za mąż za właściciela.

Znowu cisza.

- To skomplikowana kwestia spadkowa.

- Zamierzasz wyjść za właściciela?

- To takie małżeństwo na niby.

- Nie uważasz, że posuwasz się za daleko?

- To jedyny sposób. Udaję zakochaną... - Nie, pomyślała, szczegóły są niepotrzebne. - Mniejsza z tym. Weźmiemy rozwód, kiedy tylko wystawa się skończy.

- No, nie wiem, Sydney.

- Zaufaj mi. Panuję nad wszystkim. Notatki w sprawie innych antyków są w moim komputerze. Razem z nazwiskami i telefonami. Zarezerwuj główną salę wystawową.

- Zaczynam się denerwować.

- Dam radę.

- Jesteś pewna?

-Tak.

Musiała to zrobić. Nie miała wyboru. Bez względu na to, jak bardzo skomplikował się jej stosunek do Cole'a i na to, jak bardzo zaczynała kochać to ranczo w Teksasie.

Była tu, bo miała pracę do wykonania. Gdy wróci do Nowego Jorku, nabierze do wszystkiego odpowiedniego dystansu. Zostanie bohaterką. Stanie się sławna w swoim zawodzie.

- Zgoda.

- Świetnie. Odezwę się za kilka dni. - Sydney westchnęła z ulgą i rozłączyła się.

Zrobi to. Naprawdę to zrobi.

Obróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach Katie. Miała twarz białą jak papier.

Cholera! Chciała coś powiedzieć, lecz Katie obróciła się na pięcie.

- Katie! - Sydney zerwała się z za biurka i popędziła za nią. - Katie, to nie to, co...

- Przestań! - Katie z dłońmi zaciśniętymi w pięści maszerowała korytarzem. - Okłamałaś mnie. Skłamałaś prosto w oczy, a ja przyjechałam cię do rodziny.

- Cole wie.

- Tak, akurat.

-Wie!

Katie potrząsnęła głową. Głos jej drżał.

- Nie, nie wie. Ale dowie się. Natychmiast.

Wybiegła z domu.

Sydney pobiegła za nią. Cały plan się walił. Wszystko popsuła. Powinna była mówić ciszej. Powinna była zamknąć drzwi.

Cole ją zabije. Kyle też. A Katie będzie jeszcze bardziej zdenerwowana i zestresowana.

- Katie, posłuchaj. - Dyszała ciężko, próbując ją dogonić, lecz na wysokich obcasach nie było to możliwe.

Katie była już przy szopie na narzędzia.

- To oszustka! - krzyczała. - I złodziejka!

Kyle rzucił młotek na ziemię i chwycił ją w ramiona.

- O co chodzi?! - zawołał.

- Podśluchała moją rozmowę przez telefon - krzyczała Sydney z daleka.

- Ona tylko udaje zakochaną w Cole u. - Głos Katie się załamał. - Wszystko słyszałam. Zależy jej wyłącznie na „Piorunie”.

Cole odłożył narzędzia i podszedł do Katie.

- Wszystko w porządku, Katie. - Położył jej rękę na ramieniu. - Wiem o wszystkim.

- Skąd możesz wiedzieć? Ona cię okłamuje. Wszystkich nas okłamuje. - Posłała Sydney jadowite spojrzenie.

- Tak mi przykro. - Głos Sydney drżał.

- Akurat! - warknęła Katie.

- Kochanie - odezwał się Kyle uspokajająco. - To wszystko moja wina.

Katie popatrzyła nań ze zdumieniem.

- Jak to twoja wina?

Sydney marzyła o tym, by ziemia się otwarła i ją pochłonęła. Katie była wspaniałym człowiekiem. Zasługiwała na nieustanną miłość Kyle'a i zastęp małych Ericksoniątek dookoła.

- To ja zrobiłem coś bardzo głupiego - kajał się Cole.

- Nie. To ja - wpadła mu w słowo Sydney. Nie chciała niszczyć szczęścia rodzinnego. Wszyscy się kochali. Byli dla siebie całym światem.

- Możecie przestać? - rzuciła Katie.

- Katie - powiedział Cole. - Po tej historii z dzieckiem...

Katie zbladła jak papier.

- .. .pomyślałem, że przestaniesz się denerwować, jeśli ja się ożenię i będę miał dzieci.

- Nie zamierzaliśmy ich mieć naprawdę - wtrąciła Sydney. - Chodziło nam tylko o to, żebyś ty pomyślała, że będziemy je mieli. Wydawało nam się, że to świetny plan. Ja dostałabym „Piorun”, ty prawdopodobnie zaszłabyś w ciążę, a po pewnym czasie wzięlibyśmy rozwód i wszystko byłoby dobrze.

- Brałeś w tym udział? - zwróciła się Katie do Kyle'a.

-Ja...

- To my go namówiliśmy - rzekł pospiesznie Cole. - Ja go namówiłem. Widzisz, Katie, rzecz w tym, że ja naprawdę tego chcę.

Sydney przestała oddychać. Zamrugła gwałtownie. Dlaczego to powiedział? Czy po ostatniej nocy?

Czy to możliwe, że Cole pomyślał, że coś się zaczęło między nimi rodzić?

Zrobiło jej się gorąco.

- Kiedy tylko weźmiemy z Sydney rozwód - ciągnął Cole, a serce Sydney ścisnęło się boleśnie - zamierzam znaleźć sobie żonę. Prawdziwą żonę. I wezmę na siebie odpowiedzialność za tę cholerną dynastię.

Zapadła cisza. Sydney mimowolnie zrobiła krok w tył. Oczywiście. Znajdzie prawdziwą żonę. A cóż sobie wyobrażała? Cole nie mógł żyć w

Nowym Jorku, a ona nie zamierzała zostać w Teksasie. Jej kariera, jej życie już niedługo się zmienią. Po wystawieniu „Pioruna” sięgnie niebios.

Katie wpatrywała się w nią intensywnie. Sydney parsknęła wymuszonym śmiechem.

- Widzisz? Wszystko się ułoży.

- Cole - odezwał się Kyle. - Nie musisz...

-Już postanowiłem. - Poglaskał Katie po ramieniu. -I mam nadzieję, że zdołam znaleźć żonę, która będzie do ciebie podobna.

Wierzchem dłoni Katie otarła policzki.

- Przepraszam - wyszeptała do Sydney.

Sydney podeszła bliżej.

- Zupełnie nie masz za co przepraszać - powiedziała.

- Dobrze - przytaknęła Katie. - Ale chyba nie możemy powiedzieć babci, że to fikcja.

Cole spojrział na Kyle'a, a Kyle na Cole'a.

- Masz rację - przytaknął Cole. - Nadal mamy w planie ślub.

Sydney przysiadła na ławce i przyglądała się, jak Cole reperował okno. Zostawili Katie i Kyle'a samych. To było najlepsze, co mogli zrobić. A ona biła się z myślami, czy zapytać go o obiecane małżeństwo, czy nie. Nie chciała, żeby pomyślał, że jej zależy. W końcu podjęła decyzję.

- Cole?

-Tak?

- Mówiłeś poważnie, czy tylko chciałeś uspokoić Katie?

- Co mówiłem?

- O tym, że znajdziesz sobie prawdziwą żonę. - Każde słowo bolało ją jak najgorsza tortura. Zupełnie jakby była zazdrosna. Co przecież nie miało

sensu. Po wystawie nie zamierzała się już nigdy z Cole'em spotkać. Od początku taki miała plan.

Nie musiała robić do niego słodkich oczu tylko dlatego, że się z nim przespała. Spała z mężczyznami już wcześniej. Z mężczyznami, których lubiła i którym ufała. Ale nigdy nie przejmowała się przyszłością. Nigdy nie była zazdrosna o kobiety, z którymi, być może, mogli się kiedyś umówić na randkę.

Cole kiwnął głową. Przybijał gwoździkami listwę, która trzymała w ramie nową szybę.

- Za dużo wymagam od Katie i Kyle'a - rzekł refleksyjnie. - Pora, żebym sam coś zrobił dla rodziny.

- Myślisz, że ślub z zupełnie nieznaną kobietą to dobry pomysł?

Obrócił się i popatrzył na nią przeciągle.

- Tak - powiedział.

- Nie masz wrażenia, że to zbyt wielkie poświęcenie?

- Ani trochę. My, Teksasczycy, bardzo poważnie traktujemy wierność i honor.

-Oj!

- Nie krytykuję cię. - Cole wzruszył ramionami.

- Tak, właśnie. - Najwyraźniej jej zalety stanowiły dla niego zagadkę.

Można było się z nią przespać, ale na żonę się nie nadawała.

- Chyba moglibyśmy trochę przyspieszyć nasz ślub - powiedział.

- To dobrze. - Im prędzej, tym lepiej.

- Jeśli babcia zacznie coś podejrzewać, powie się, że jesteś w ciąży i trzeba się pospieszyć.

- Ale przecież znasz mnie dopiero kilka dni.

Wbił ostatni gwóźdź i odłożył młotek.

- Dużo podróżuję. Pomyśli, że spotkaliśmy się wcześniej.

- Oczywiście. - Pokiwała głową. Zaciśnęła zęby. Interes przede wszystkim, pomyślała. - Poprosiłam koleżankę, żeby już zaczęła przygotowania do wystawy.

Kiwnął głową.

- Czy mogłabym popatrzeć na „Piorun” przed ślubem?

- Myślę, że tak. Po co?

- To by mi pomogło zaprojektować ekspozycję. A jeszcze lepiej by było, gdybym mogła posłać do muzeum kilka zdjęć. - Interes to interes.

Cole przyjrzał się uważnie wykonanej pracy.

- Przyjadę po ciebie, kiedy tylko będę mógł się wyrwać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W oczekiwaniu na wyjazd do Wichita Falls Sydney kontynuowała przygotowania do wystawy. Przeprowadziła kilka długich rozmów telefonicznych.

Później odwiedziła babcię.

Bardzo polubiła tę ekscentryczną starszą panią, mądrą i pełną humoru. I wprost uwielbiała jej opowiadania. Te o „Piorunie” i te o wczesnych latach Teksasu.

Kiedy Cole dał znać, że może pojechać z nią do miasta, Sydney nie kazała mu czekać. Bardzo jej zależało na obejrzeniu broszy. Nawet jeśli to oznaczało konieczność odbycia dwugodzinnej podróży sam na sam z Cole'em.

- Dawno cię nie widziałem - powiedział, kiedy wyjechali na szosę.

- Ja też cię dawno nie widziałam.

- Miałem dużo pracy. - Wzruszył ramionami.

- Ja też.

- Uraziłem cię czymś?

Czy miał na myśli coś innego niż oświadczenie przed całą rodziną, że znajdzie sobie „prawdziwą” żonę, kiedy tylko się jej pozbędzie?

- Nie jestem urażona.

- To dlaczego do takiego poziomu sprowadziłaś naszą znajomość?

Ona sprowadziła?!

- Chciałeś czegoś więcej?

Wzruszył ramionami. Włączył kierunkowskaz i wjechał na autostradę.

- Musisz przyznać, że wszystko się zmieniło, kiedy Katie się wtrąciła.

- Ach. - Sydney pokiwała głową. - Chodzi ci o seks?

- Słucham?!

- Przepraszam za to. Mam nadzieję, że nie przykręciłam kurka zbyt gwałtownie.

Oczy mu się zwięziły i spojrzenie pociemniało.

- Był jakiś konkretny powód, dla którego się wycofałaś?

Wzruszyła ramionami. Nie istniał żaden logiczny argument. Tylko okropne uczucie odrzucenia.

- Już niczego nie musimy udawać - oświadczyła.

- Uważasz, że masz już „Piorun” w kieszeni.

- Właśnie. Tak. Coś takiego. - Odwróciła twarz do okna.

- Rozumiem.

- To dobrze.

- Świetnie. - Mocniej wcisnął gaz. Włączył radio. Aż do Wichita Falls nie odezwali się do siebie więcej.

- To tam - powiedział Cole, kiedy się znaleźli w śródmieściu i stanęli przed światłami na skrzyżowaniu.

- Gdzie? - Rozglądała się niecierpliwie. Wskazał wysoki szary budynek za zakrętem.

Sydney nie mogła opanować podniecenia. To było to. Skarb jej życia czekał na nią w środku. Czowała się jak dziecko w Boże Narodzenie.

Weszli do budynku i windą pojechali na dziesiąte piętro. Mosięzna tabliczka przy drzwiach informowała, że znaleźli się w kancelarii adwokackiej „Neely and Smythe”.

- Robi wrażenie - przyznała.

- To rodzinna firma od wielu pokoleń.

- I „Piorun” jest tutaj przez cały czas?

- Prawie.

- Mam gęsią skórkę.

Otwierając drzwi, Cole uśmiechnął się do niej. Po raz pierwszy od wielu dni.

Zrobiło jej się niezwykle miło.

W recepcji rozpromieniona brunetka przywitała ich serdecznie zza marmurowego kontuaru.

- Pan Neely już na państwa czeka.

Łysiejący mężczyzna przywitał ich na końcu korytarza. Energicznie potrząsnął ręką Cole'a i zwrócił się do Sydney.

- Joseph Neely. Jak rozumiem, chciałaby pani obejrzeć „Piorun Północy”?

- Tak. Sydney Wainsbrook - przedstawiła się.

- Z przyjemnością sam na nią popatrzę. - Kluczem otworzył wewnętrzne drzwi.

- To naprawdę ekscytujące - przyznała.

- Zostawię państwa samych.

Joseph Neely gestem zaprosił ich do środka.

Sydney weszła do tonącego w półmroku gabinetu. Cole postąpił za nią i wskazał okrągły mahoniowy stolik w kącie.

Zrobiła krok naprzód i krew uderzyła jej do głowy. Na stoliku, na czerwonym aksamicie, leżał „Piorun Północy”. Brosza królów. Legenda.

Sydney głośno wciągnęła powietrze. Brosza była olbrzymia i bogato zdobiona. Piękna. Polerowane złoto wysadzane rubinami, szmaragdami i diamentami. Była wielka. Oszłamiająca.

Przesunęła opuszkami palców po miękkim atlasie, nie dotykając broszy.

- Szczęściarz z ciebie - powiedziała.
- Czasem też tak uważam.
- Aż mi ciarki przechodzą po plecach.
- Możesz jej dotknąć, jeśli chcesz.

Potarła palce, by je rozgrzać. Pochyliła się i mocno oparła o stół. I dopiero wtedy odważyła się dotknąć broszy...

Gwałtownie cofnęła dłoń. Poczowała mróz w kościach. Dotknęła jej ponownie i świat zawirował jej przed oczami.

- Cole? - Ze ściśniętym żołądkiem wyprostowała się.
- Taak? - Zbliżył się.

Raz jeszcze dotknęła środkowego brylantu. Miała wrażenie, że jej serce zmieniło się w bryłę lodu.

- To jest falsyfikat.
- Bzdura - zachnął się Cole.
- To jest falsyfikat - powtórzyła gwałtownie.
- Pewnie - wycedził. - Ktoś pokonał system alarmowy, włamał się do biura prawnika, zamienił klejnot i nikt tego nie zauważył. Niemożliwe.

- Kiedy ostatnio oglądał ją jakiś rzeczoznawca?

Cole usiłował zrozumieć, o co jej chodzi.

- Kiedy? - nalegała.
- Była dobrze strzeżona przez setki lat. - Czyżby Kyle miał rację? Może naprawdę była wyrafinowaną oszustką? - Do czego zmierzasz? - spytał.

- Przedstawiłam ci ekspertyzę specjalisty.
- Mhm. - Nie pojmował, jaki podstęp knuła.
- Widzisz te brylanty? - Wskazała broszę. - Te małe, na krawędzi?
- Widzę.

- Są szlifowane.

- I co z tego?

- Do czternastego wieku nie stosowano szlifowania fasetkowego. Nie mieli wtedy odpowiednich narzędzi. Nie wiem, kto wykonał tę broszkę, ale na pewno nie byli to średniowieczni wikingowie.

Cole przyglądał się broszce. Widział ją wiele razy. Wyglądała tak samo. Zawsze wyglądała tak samo.

Lecz w głosie Sydney było coś, co wzbudziło jego niepokój. Jaki miałaby interes, by wymyślić takie kłamstwo? Zrobiło mu się niedobrze. Musiał przyznać, że to, co powiedziała, było możliwe.

- Cole, czemu nic nie robisz? - Podniosła głos. Uniósł klejnot do światła.

- Kto mógłby ją podrobić? - spytał.

- Potrzebujemy więcej informacji. Mam przyjaciółkę, która jest konserwatorem zabytków. Mogłaby dużo dokładniej ustalić datę, kiedy to zostało zrobione. Na początek to już będzie coś.

Ach! Rozumiem, pomyślał. Już widzę to sprawdzanie.

- Masz przyjaciółkę - powiedział kpiąco.

- Gwen Parker. Pracuje w muzeum...

-I twoja przyjaciółka przyjedzie tu oszacować moją broszkę?

- Nie będzie jej szacować...

Cole parsknął śmiechem.

- Niech zgadnę - ciągnął. - Okaze się bezwartościowa. Zaproponujesz, że chętnie ją weźmiesz. Nawet kupisz. A potem się dowiem, że wystawiłaś ją w muzeum.

Sydney skamieniała ze zgrozy.

- Cole, ja nigdy...

- Nigdy, co? - Stał tuż przed nią. - Nigdy nie robiłaś wszystkiego, żeby dostać „Piorun”? Nigdy nie kłamałaś? Nie oszukiwałaś? Nigdy nie chciałaś się za mnie wydać? Nie spałaś ze mną?

Zacisnęła pięści.

- Mało mnie obchodzi, co o mnie wygadujesz, ale brosza jest fałszywa. Spytaj mojego eksperta. Spytaj twojego eksperta. Zawieź broszę do Luwru. Ale jeżeli nie ustalisz, kiedy została zamieniona, nigdy się nie dowiesz, dlaczego. I nigdy, przenigdy nie będziesz miał szansy na odzyskanie oryginału.

Cole przyglądał się jej w milczeniu. Mówiła poważnie? Bo tak wyglądała.

Otworzył dłoń i obejrzał klejnot.

- Pomyśl, Cole. Rusz swoim podejrzliwym małym mózdzkiem. Jak mogłabym z nią stąd uciec? Jak w ogóle mogłabym myśleć, że ją zabiorę, wmawiając ci, że to falsyfikat?

Cole znów zamknął dłoń.

Miała rację. Ale kto mógł dokonać zamiany? Kto? I to tak, że nikt nie zauważył?

W szerokim obiegu nie istniały żadne fotografie. Musiał to być ktoś, kto miał dostęp do broszy przez dłuższy czas...

Nagła myśl przyszła mu do głowy. Podbiegł do drzwi i otworzył je.

- Joseph! - zawołał.

Prawnik pojawił się natychmiast.

- Słucham, panie Erickson? - Jego głos zdradzał niebotyczne zdumienie.

Cole wpuścił go do pokoju i zamknął drzwi.

- Potrzebny nam rzeczoznawca. Natychmiast.

- Konserwator - uściśliła Sydney.

Obaj spojrzeli na nią.

- Konserwator muzealny - powtórzyła. - Specjalista od kamieni szlachetnych i biżuterii.

- Czy coś nie tak? - spytał Joseph Neely.

- Brosza została podmieniona - powiedział Cole, patrząc podejrzliwie. Mógł to przecież być ktoś z firmy.

Neely milczał długo. Nie wyglądał na winnego, ale jego prawniczy umysł bez wątpienia gorączkowo analizował wszystkie możliwości.

- Nie potrafię zrozumieć, jak mogło... - wychrypiął.

- Musimy się dowiedzieć kiedy, jak i dlaczego - rzekł z determinacją Cole.

Katastrofa.

Serce mu zamarło, kiedy pomyślał o babci. To będzie dla niej szok. Musiał ją chronić.

Bez względu na to, co się stanie, nie wolno jej o tym powiedzieć.

Osiem godzin później siedzieli w gabinecie Neely'ego. Przed Cole'em leżała ekspertyza. Czytał i miał wrażenie, że świat mu się wali.

Po pierwszych rozmowach w miejscowym muzeum Cole zgodził się ściągnąć z Nowego Jorku koleżankę Sydney, Gwen Parks. Obie pracowały przez kilka godzin, po czym Gwen sporządziła ekspertyzę, która wstrząsnęła Cole'em.

Potwierdziła bowiem, że w sejfie adwokata leżała replika. Stwierdziła też, że sporządzono ją między rokiem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym. Nadal nie wiedzieli, kto i dlaczego to zrobił, ale dawało to cień nadziei na odnalezienie oryginału.

- Zasięgnę języka tu i tam - obiecała Gwen.

Joseph skrupulatnie ułożył broszę w pudełku i zamknął w sejfie.

Cole'owi przeleciała przez głowę myśl, że to przecież falsyfikat. Po co go chować do sejfu? Ale był zbyt poruszony, by się nad tym dłużej zastanawiać.

Zacisnął pięść, gniotąc raport.

- Jeśli kiedykolwiek próbowano ją sprzedać - mówiła Gwen do Sydney - ktoś będzie o tym wiedział.

- Rozejrzysz się po czarnym rynku? - spytała Sydney.

Gwen skinęła głową.

Na moment zapadła cisza.

Po chwili Sydney zwróciła się do Cole'a:

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z babcią.

- Co? - Cole poderwał głowę.

- Gwen się rozejrzy i popyta, a my musimy spróbować się czegoś dowiedzieć od babci. Im prędzej, tym lepiej.

- Nie będziemy rozmawiać z babcią - powiedział stanowczo.

- Oczywiście, że będziemy. - Sydney oparła ręce na biodrach.

Cole cisnął raport na biurko.

- Czy masz pojęcie, jak bardzo ją to zdenerwuje?

Sydney zbliżyła się do niego powoli.

- Wiem, że ją to zdenerwuje, ale strata „Pioruna” na zawsze zdenerwuje ją znacznie bardziej.

- Odnajdziemy broszę bez niej. - Cole zacisnął zęby.

- To ona ją miała, kiedy doszło do zamiany. Jest naszym jedynym śladem.

-Nie.

- Cole. Bądź rozsądny. Będzie mogła nam powiedzieć, gdzie brosza była w tamtym czasie.

- Dowiemy się tego z rejestrów u prawnika.

- Z ich rejestrów możemy się co najwyżej dowiedzieć, kiedy brosza u nich była, a kiedy nie. Babcia może nam powiedzieć, czy zdarzyło się kiedykolwiek, że zaginęła. Jeśli ktoś ją kiedyś pożyczał...

- Powtarzam: nie.

Stała tuż przed nim.

- Dlaczego?!

Krew uderzyła Cole'owi do głowy. Wstał gwałtownie.

- Nie waż się rozmawiać z babcią za moimi plecami!

- Policja nie będzie cię pytać. Tu doszło do przestępstwa, Cole.

- Sami się tym zajmiemy. - Za nic na świecie nie mógł stracić kontroli nad dochodzeniem.

- Cole - doleciał go głos Gwen. Sydney i Cole obrócili się jednocześnie.

- Sydney ma rację. Nieważne, z kim będziesz rozmawiać, kogo poprosisz o pomoc: policję czy prywatnego detektywa. Każdy zacznie od rozmowy z babcią. Jeśli tego nie zrobią, możesz ich natychmiast wywalić za niekompetencję.

- Ona jest naszym jedynym punktem zaczepienia - dodała Sydney.

To wszystko nie miało znaczenia.

- Ona ma siedemdziesiąt lat - przypomniał Cole.

- Trzyma się wyśmienicie.

- Taki stres może ją zabić.

Sydney popatrzyła mu głęboko w oczy.

- To jej nie zabije - powiedziała.

Ma inteligentne spojrzenie, przeleciało Cole'owi przez głowę. I zna się na swojej pracy. Psiakrew!

Jeśli chciał trzymać policję z daleka, musiał zaufać Gwen i Sydney.

Nie chciał, ale musiał.

- Zgoda - przystał. - Niech będzie. Porozmawiam z babcią.

- Dzisiaj? - spytała Sydney.

- Jutro. - Nie chciał jej przynosić złych nowin przed snem. Gwen sięgnęła po torebkę.

- W takim razie ja ruszam do Nowego Jorku.

Cole podszedł i mocno ścisnął jej rękę.

- Bardzo, bardzo dziękuję, że przyjechałaś tak szybko - powiedział.

- Dziękuję, że wynajęłaś samolot - odparła Gwen.

- Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała - dodał - zadzwoń. O każdej porze.

Gwen kiwnęła głową.

- Zaczę od telefonów - postanowiła. - Będę was informować. -

Popatrzyła na zegarek. - Kiedy dotrę do domu w Londynie, będzie ranek.

- Myślisz, że brosza jest za oceanem? - spytał Cole nerwowo.

Zaczynało to przypominać szukanie igły w stogu siana.

- Chcę sprawdzić każdą możliwość - wyjaśniła Gwen. Sydney uścisnęła ją.

- Dziękuję ci - szepnęła.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. Porozmawiamy jutro. Kiedy Gwen wyszła, Sydney wzięła głęboki oddech. Bolały ją oczy ze zmęczenia. Dotknęła ramienia Cole'a. Poczwała, jak napięły się jego mięśnie.

- Powiemy jej o tym delikatnie - powiedziała.

Cole poczuł spoczywający na jego barkach ciężar czterdziestu pokoleń.

- Nie mam pojęcia, jak można to zrobić.

Babcia mocno uścisnęła Sydney na powitanie.

- No? Zrobił to? Oświadczył się?

- Babciu! - syknął Cole.

- Mam nadzieję, że miał pierścionek.

- Nie miał pierścionka - powiedziała Sydney.

- A Katie powiedziała, że to miłość od pierwszego wejrzenia. - Wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. - Miałam nadzieję, że po to pojechaliście do miasta.

- Zamierzamy się pobrać - zadeklarował Cole.

Sydney zastanawiała się, czemu kontynuował tę farsę. Katie знаła całą prawdę, a „Piorun” może się już nigdy nie odnaleźć. Szybki ślub niczego nie zmieni.

Szanse na odnalezienie broszy przed otwarciem wystawy były znikome. Będzie musiała wszystko odwołać. Straci pracę i reputację. Będzie szczęśliwa, jeśli ją zatrudnią jako przewodniczkę wycieczek.

- Wiedziałam. - Babcia klasnęła w dłonie. - Widziałam, jak na nią patrzyłeś.

- Babciu.

- Daj spokój. - Poprowadziła ich do salonu. - Zrobię herbatę. Opowiedzcie mi wszystko. Kiedy ślub? Sydney, kochanie, musisz mi dać listę gości.

- Nie potrzebujemy herbaty. I nie ma jeszcze daty.

- Ależ potrzebujemy herbaty. Przed nami wiele przygotowań. Tyle musimy ustalić. Dzięki Bogu, że wybraliśmy już dom. - Uśmiechnęła się szeroko.

Sydney poczuła ucisk w żołądku.

- Czy możemy usiąść? - spytał Cole ponuro.

- Oczywiście. - Babcia wskazała kanapę. - Siadajcie. Zaraz wrócę.

- Babciu. - Cole podniósł głos.

Sydney ścisnęła go za ramię, ale ją odsunął.

- Słucham? - Babcia zamrugła powiekami. Sydney chwyciła jej dłoń.

- Babciu - powiedziała, patrząc jej w oczy. - Musimy z tobą o czymś porozmawiać.

Babcia popatrzyła na nich zdezorientowana. Po chwili uśmiechnęła się niepewnie.

- Czy to będzie... szybki ślub?

- Nie ułatwiasz nam - odezwał się Cole.

- Mamy... niepokojące wieści - wyjąkała Sydney.

- Och? - Spojrzenie starszej pani spoważniało. Sydney i babcia usiadły.

Cole wciągnął głęboko powietrze.

- Niełatwo to powiedzieć - bąknął.

- Czy ktoś zachorował?

- Nie. Wszyscy są zdrowi. Babciu, chodzi o „Piorun”.

Zamarła. Zacisnęła wargi.

- Wpadliśmy do biura do Josepha - ciągnął Cole. - Prawdziwy „Piorun” zniknął. W sejfie jest falsyfikat.

Babcia przyłożyła dłoń do piersi. Zbladła jak płótno.

- Babciu? - Cole natychmiast znalazł się przy niej. Sydney poderwała się na równe nogi, wściekła na siebie, że nie posłuchała Cole a.

- Babciu? - powtórzył Cole. Milczała.

- Połóżmy ją. - Sydney zaczęła układać na kanapie poduszki. - Babciu?

Ułożymy ci stopy wyżej.

- Zadzwońię po doktora Diersa - powiedział Cole.

- Dobry pomysł - podchwyciła Sydney. Jak mogła przypuszczać, że babcia spokojnie to przyjmie? Taka strata!

Babcia złapała ją drżącą ręką.

- Nie potrzebuję doktora.

- Nie próbuj mówić - szepnęła Sydney.

Starsza pani zamknęła oczy. Jej pomarszczona skóra zrobiła się zupełnie przezroczysta. Cole odłożył słuchawkę.

- Doktor Diers jest już w drodze - rzekł z ulgą. - Co z nią?

Oddychała płytko, ale miarowo.

- Nie potrzebuję doktora - sapnęła. Cole zbliżył się do niej.

- On i tak przyjedzie.

- Strata czasu - mruknęła.

- Babciu. - Cole ujął ją za rękę. - Odnajdziemy ją.

Uniosła powieki i długo się w niego wpatrywała.

- Wiem - powiedziała w końcu, a z jej oczu popłynęły łzy.

- Odpoczywa - oznajmił doktor Diers i cicho zamknął za sobą drzwi do sypialni babci. - Musiała przeżyć szok.

- Przynieśliśmy jej złe wiadomości - powiedział Cole. - Chyba nie powinniśmy byli nic jej mówić.

Sydney wiedziała, że czuł się odpowiedzialny. Ale to była jej wina. Walcząc o własną karierę, naraziła życie staruszki.

- Dałem jej łagodny środek uspokajający - poinformował lekarz. - Nic jej nie będzie. Chce z tobą rozmawiać.

Cole skinął głową i ruszył do drzwi.

- Z Sydney - powstrzymał go doktor.

- Słucham? - zdziwił się Cole.

- Twoja babcia chce rozmawiać z Sydney.

I Cole, i Sydney nie potrafili ukryć zaskoczenia.

- Dlaczego chce z nią rozmawiać?

- Może woli porozmawiać z kobietą? - Doktor leciutko wzruszył ramionami.

- Mogę zawołać Katie.

- Prosiła Sydney.

- Pójdę - zdecydowała Sydney.

Cole poruszył się nerwowo.

- Przysięgam. - Sydney uniosła dłoń. - Będę tylko słuchała.

- Nie mogę ci pozwolić jej denerwować - powiedział Cole. - Już dosyć błędów popełniliśmy.

- Nie zamierzam jej denerwować.

Cole miał zaciętą minę i zaciśnięte pięści.

- Nie mamy wyboru. - Sydney spróbowała go uspokoić.

- Owszem, mamy. To była prawda.

- Pójdę, wysłucham jej i wtedy porozmawiamy, zgoda? I zanim zdążył coś powiedzieć, wyszła.

Kiedy weszła do sypialni, babcia otworzyła oczy. Leżała pod kocem, drobna i krucha.

- Sydney - wyszeptała. Sydney cicho zamknęła drzwi.

- Podać ci coś? - spytała. - Może wody? Aspirynę?

- Zrobiłam coś strasznego, Sydney. - Przytknęła chusteczkę do oczu.

Sydney kucnęła przy łóżku.

- Babciu? Stało się coś złego?

- Wszystko.

- Opowiedz mi.

Babcia mocno ścisnęła dłoń Sydney.

- Nie mam prawa prosić.

- Mów śmiało.

- To, co zrobiłam... To, co ci powiem... Obiecuj, że nie powtórzysz mojej rodzinie.

- Oczywiście, że nie powtórzę.

Babcia odetchnęła z wysiłkiem.

- To ja.

- Co ty?

- Ja zamieniłam „Piorun”.

To był dla Sydney prawdziwy wstrząs.

- Co? Kiedy? Jak? - zawołała. Szybko się jednak opanowała i już spokojniej spytała: - Wiesz, gdzie jest oryginał?

-Nie.

- Nie rozumiem. - Naprawdę nie rozumiała. Dlaczego? Dla pieniędzy?

- To było bardzo dawno.

Sydney w milczeniu pokiwała głową.

- Byłam bardzo młoda. Miałam zaledwie dwadzieścia lat - mówiła z trudem.

Sydney usiadła na podłodze, położyła dłoń na dłoni babci i słuchała w skupieniu.

- Obchodziliśmy z Haroldem drugą rocznicę ślubu. Byłam wtedy w ciąży z Neilem. I była tamta kobieta...

Sydney zamarła.

- Miała dziecko. Syna. - Głos jej się załamał. - Miał pół roku...

- Tak mi przykro. Babcia potrząsnęła głową.

- Mówiła straszne rzeczy. Wiedziała straszne rzeczy. -Spojrzała Sydney prosto w oczy. - Myślę, że to mogła być prawda.

Serce Sydney ścisnęło się współczuciem. Cóż za bolesny sekret.

- Tak bardzo mi przykro - powiedziała.

- Wtedy były inne czasy. Sąsiedzi mogli wziąć nas na języki. Neil mógł być szykanowany. Zyski z rancza mogły spaść.

- Powiedziałaś mu? - spytała Sydney.

Babcia zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dlaczego?

- Tyle przeszliśmy. Tak daleko zaszliśmy.

Sydney nie zrozumiała.

- Przez pierwszy rok byłam bardzo samotna. Winiłam za to Harolda i my nie...

Umilkła.

- To nie była twoja wina - przekonywała Sydney. - Niewierność zawsze jest niewiernością.

Babcia uśmiechnęła się smutno.

- „Piorun” to moja sprawka. - Przytknęła palec do piersi. - Tylko moja. Byłam młoda i niedoświadczona. Bałam się, co ludzie powiedzą. Poza tym zależało mi na mężu i na naszym życiu bardziej niż na jakiejś błyskotce.

Sydney poczuła mróz w kościach.

- Co chcesz powiedzieć?

Babcia niecierpliwie otarła łzę z policzka.

- Oddałam jej broszkę. Och, nie!

- Zażądała „Pioruna” i dałam ją jej.

Sydney wzdrygnęła się.

- Powiedziała, że Rupert jest pierworodnym Ericksonem i że jemu się należy. Obiecała, że zostawi nas w spokoju.

- Szantażowała cię?

Przytaknęła.

- Byłam doskonałą ofiarą - ciągnęła drżącym głosem. - Żeby ratować małżeństwo, zdradziłam rodzinę.

Sydney zacisnęła powieki.

- Pomogło? - spytała.

Babcia parsknęła śmiechem.

- A jakże! Pomagało przez trzydzieści lat. Z wyjątkiem...

Głowa opadła Sydney na piersi. Cóż mogła powiedzieć? „Piorun” przepadł.

Oczyrna duszy zobaczyła jasne włosy swojej matki i jej srebrny medalion... Nie była pewna, ale to musiało być na dzień przed pożarem. Miała wtedy pięć lat i mama po raz ostatni trzymała ją na rękach. Wtedy też po raz ostatni widziała srebrny medalion czy cokolwiek należącego do rodziny.

- Czy możesz ją odzyskać? - spytała cicho babcia. - Bo gdybyś mogła...

Sydney otworzyła oczy. Kiwnęła głową.

- Tak - powiedziała stanowczo. Chociaż nie miała pojęcia, jak tego dokonać. - Bez względu na to, kto ją ma. Bez względu na to, gdzie jest.

Nadzieja rozjaśniła wzrok babci. Policzki jej się zaróżowiły.

- Popełniłam błąd,

- Nie. Dokonałaś wyboru.

- Jak mogę wytłumaczyć... chłopcom...

- Cole i Kyle nie muszą wiedzieć. Dochowam tajemnicy.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Katie? - Z telefonem przy uchu Cole patrzył za znikającym w kłębach kurzu samochodem doktora.

- Cześć, Cole - zaszcebiotała szwagierka. W tle usłyszał gwizdanie czajnika. - Co się dzieje? Gdzie była Sydney wczoraj w nocy?

- Możesz przyjść tu do babci?

- Po co? - Gwizdek umilkł.

Cole zniżył głos.

- Bo cię potrzebujemy.

- Co się stało? - rzuciła.

- Czy jest tam Kyle?

- Cole, co się dzieje?

- To nie... - Nie wiedział, co powiedzieć. Nieważne? Okropne?

- Posłuchaj, naprawdę wolałbym wam to powiedzieć osobiście...

- Nie chrzań!

- Jesteś pewna, że Kyle'a tam nie ma?

- Jest w stodole. Mów!

- Dobrze. Jak chcesz. - Od czego zacząć? Nie mógł tak po prostu powiedzieć, że brosza przepadła. - Byliśmy z Sydney w Wichita Falls.

- Tak? - Jej zaciekawienie wzrosło. - Ale myślałam...

- Nie po to.

- Nie? Bo, wiesz, ona jest naprawdę...

- Czy nie moglibyście tu jednak przyjść?

- Czy Sydney nadal jest z tobą?

-Tak

Katie zamilkła. Niemal słychać było jej uśmiech.

- Oczywiście. Zaraz przyjdziemy.

- Dobrze. - Cole zacisnął powieki i starał się wyrównać oddech.

Drzwi od sypialni babci otworzyły się z cichym skrzypieniem. Prędko się rozłączył.

- Dobrze się czuje? - spytał.

Sydney pokiwała głową. Miała zaczerwienione oczy. Pocierała ramiona, jakby jej było zimno.

- Ma się dobrze - zapewniła.

- A ty? - Zbliżył się do niej. Na pewno martwiła się swoją przyszłością.

- Doskonale. - Machnęła lekceważąco ręką.

- Co ci babcia powiedziała?

- Że w roku 1978 brosza była przez kilka tygodni na ranczu.

- Czy wie, kto ją zamienił?

- Uważam, że powinieneś porozmawiać z miejscowymi, którzy tu wtedy mieszkali. Może...

- A więc nie wie.

Prychnęła niecierpliwie.

- Może znajdziesz kogoś, kto ją widział. Może ktoś się nią szczególnie interesował...

Zrezygnowany pokiwał głową. Na początek można zacząć od przepytania sąsiadów. Lepsze to niż nic. Sydney odwróciła głowę do okna.

- Kiedy będziesz rozmawiał z ludźmi w okolicy, ja pojedę do Kalifornii...

- Do Kalifornii?!

Skinęła głową.

- Gwen naszykowała listę handlarzy antykami. Większość z nich mieszka w Kalifornii i zamierzam sprawdzić...

- Aha! Nic z tego. - Potrząsnął głową. Nie zamierzał zostawiać jej samej. Chodziło o jego rodzinę, o jego majątek.

Spojrzała mu w twarz.

- Co to znaczy, nic z tego? - spytała.

- Ja jadę do Kalifornii.

- Nie masz pojęcia o antykach.

- Jeśli ty pojedziesz, to ja pojedę z tobą.

- Ale ktoś musi zostać tutaj.

- Kyle może przepytac sąsiadów.

- Kyle? - zawołała.

- On i Katie zaraz tu będą.

- Zaraz?

- Tak. Zaraz.

- Powiedziałeś im? - Jej oczy zwięzły się jak szparki.

- Nie. Ale mam zamiar.

-Ale...

- Co ale?

Sydney przygryzała wargę, myśląc gorączkowo.

- Myślałam, że im mniej osób będzie wiedziało...

- Kyle jest moim bratem. Zobaczył coś dziwnego w jej oczach. Czyżby strach?

Bała się? Czego?

Czy jeszcze kiedykolwiek będzie potrafił jej zaufać? Nie mogła przewidzieć tego, że brosza jest falsyfikatem, ale Kyle twierdził, że jest cwana. Czy teraz też próbowała wykorzystać sytuację?

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli tutaj zostaniesz - podsunęła.
- Nie ma mowy, Sydney.
- Ale...
- Kyle da sobie radę. Jadę z tobą.
- Ja... wolę pracować sama.
- Trudno. - Podszedł bliżej. - Musisz się do mnie przyzwyczaić. Teraz jestem twoim nowym partnerem.

Cole wiedział, że musi pojechać do Kalifornii. Musi trzymać rękę na pulsie.

W pokoju hotelowym w Oceanside Sydney miotła się nerwowo w poszukiwaniu gniazdka elektrycznego, żeby podłączyć laptop. Czemu oni zawsze chowają kontakty za meblami?

Musiała się nieźle natrudzić, żeby odsunąć biurko od ściany. Wyjęła z gniazdka wtyczkę od lampki, włączyła zasilacz i opadła na fotel.

Odgarnęła włosy z czoła, przekrzywiła głowę i spojrzała na drzwi wiodące do sąsiedniego pokoju, po czym włączyła komputer. Za ścianą był pokój Cole'a, który nie dawał znaku życia.

Ale tymczasem nie to było najważniejsze. Koniecznie musiała odebrać pocztę od Gwen. Nikt oprócz niej nie znał tajemnicy babci, więc tylko ona mogła wykonać to zadanie.

Owszem, przyjechali do Kalifornii, żeby się przyjrzeć handlarzom. W Oceanside mieszkała jednak kiedyś Irene Cowan, kochanka Harolda.

Kiedy tylko uda jej się jakoś pozbyć na trochę Cole'a, odwiedzi ratusz. Liczyła na to, że w archiwum miejskim, wśród mikrofilmów z działu podatków, znajdzie ślad Irene.

Pasek na ekranie komputera wskazywał, że poczta jest ściągana. Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Szybciej! Ponagliła w duchu komputer.

Cole zastukał ponownie.

Już! Odczytała wiadomość i szybko zamknęła laptopa.

Cole miał na sobie białą koszulę, krawat w kolorze czerwonego wina i szykowny czarny garnitur. Był świeżo ogolony i pięknie pachniał. Jeśli w antykwariatach pracują kobiety, mamy je u stóp, pomyślała.

- Uznałem, że może lepiej nam pójdzie, jeśli będziemy wyglądać na zamożnych klientów - powiedział.

Sydney spojrzała na swoje dżinsy i bluzkę ze śladami kurzu spod biurka i ruszyła do szafy. Wyjęła kremowy kostium i małą czarną.

- Styl profesjonalny czy zalotny? - spytała.

- Co zwykle daje lepsze efekty?

- Profesjonalny. - Zawahała się. - Nie. Kłamię. - Odwiesiła kostium do szafy. - Zdecydowanie lepiej działa zalotny. - Poszła do garderoby.

- Na pewno działa na mnie. - Usłyszała za sobą jego śmiech.

- Tak? Cóż, z tobą nie było trudno.

- Jak z większością mężczyzn w tym kraju.

- Na biurku leży lista antykwariatów - zawołała. Uznała, że trzeba zmienić temat rozmowy.

Zdjęła spodnie i bluzkę, a po chwili także stanik. Białe ramiączka wystawałyby spod sukienki.

- Powinniśmy chyba zacząć na Zircon Drive.

- Czy Gwen ma jakieś przypuszczenia, że któryś z handlarzy na tej właśnie ulicy widział „Piorun”?

- Nie, jak dotąd nie ma żadnych śladów.

Wyszczotkowała włosy i zrobiła makijaż.

- To co my właściwie robimy?

- Będziemy pokazywać sprzedawcom zdjęcie broszy i zobaczymy, czy ją rozpoznają.

- A jeśli nie?

Jego głos się przybliżył. Sydney nerwowo rozejrzała się dookoła. Nie, nie bała się, że wejdzie. Był zbyt dobrze wychowany. Ale jego głos i jej nagie ciało stanowiły niebezpieczną kombinację.

Szybko wciągnęła sukienkę. Gładki jedwab subtelnie pieścił jej piersi.

- Sydney?

- Wtedy pojedziemy do następnych sklepów. - Jej głos wibrował leciutko.

Cole milczał przez chwilę.

- Naprawdę jesteś przekonana, że to ma sens?

- Nie wiem - odparła szczerze.

- Gotowa?

- Już wkładam buty. - Jeszcze raz przeciągnęła szczotką po włosach i włożyła kolczyki z brylantami.

Kiedy wyszła, popatrzył na nią z nieskrywanym zachwytem.

- Możemy iść - oznajmiła. Krew zaczęła jej szybciej krążyć. Cole patrzył na nią jeszcze przez moment.

- Tak. Zircon Drive. - Obrócił się na pięcie i prawie wybiegł z pokoju.

- To bez sensu - skwitował Cole, kiedy wyszli z czwartego antykwariatu. Mimo starań, nie znaleźli żadnego śladu „Pioruna”.

- Dopiero zaczęliśmy - zauważyła Sydney. Nie czuła się zrećźnie, ale musiała przed nim ukryć prawdziwe poszukiwania.

- Możemy tak łązić cały rok.

- Nie tylko my szukamy. Gwen jest w Europie, a Kyle przepytuje sąsiadów.

- A my tracimy czas.

- Nie trać nadziei - powiedziała.

- Potrzebujemy wsparcia - uznał. - Wynajmę firmę detektywistyczną.

Miejscową, z dużą liczbą pracowników.

Podążała za nim zatłoczonym chodnikiem. Panika ścisnęła jej serce. Prywatni detektywi? Wtykający nosy we wszystko? Mogą uniemożliwić dochowanie sekretu babci.

- Poczekajmy z tym, rozejrzyjmy się - studziła emocje.

- Na co mamy czekać?

Chodnik rozluźnił się i znów szli ramię w ramię.

- Zobaczmy najpierw, to się uda osiągnąć Gwen.

Popatrzył na nią wyraźnie nieprzekonany.

- Nie róbmy niczego pochopnie - ciągnęła. - Zgoda? - Wynajęcie firmy detektywistycznej jest pochopnym działaniem?

- Myślę, że powinniśmy się sami skupić na poszukiwaniach.

Bezradnie rozłożył ręce.

- Przecież nie ma się na czym skupiać. - Podniósł głos.

- Jesteś niecierpliwy.

- Niecierpliwy? - Otworzył drzwi od samochodu. - Wybacz, ale „Piorun” jest wart pół miliona dolarów.

Sydney wsiadła do auta. Do tej pory nie myślała o materialnej wartości broszy. Dla niej było to dzieło artystów pokazujące kunszt jubilerów europejskich.

Cole usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi. Włączył silnik.

- Myślę, że dla pół miliona dolarów możesz mi wybaczyć odrobinę niecierpliwości - powiedział.

- Dobrze. Wybaczam.

- Wynajmiemy firmę.

- Nie. Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Zadzwoił jej telefon. Miała nadzieję, że to Gwen. Że udało jej się znaleźć cokolwiek. Potrzebowała jakiegokolwiek śladu, za którym mogłaby posłać Cole'a.

- Słucham?

- Proszę, proszę. - To był Bradley Slander. - Unikasz mnie ostatnio, maleńka.

Zakłęła pod nosem.

- Nie jestem maleńka, Slander - warknęła.

Odwróciła się do okna.

- „Piorun Północy”? - ciągnął. - To dla nas wielka sprawa. Krople potu wystąpiły jej na czoło.

- Tu nie ma żadnych nas! - W jaki sposób dowiedział się tak szybko? Kto zdradził?

- Ależ mylisz się, Sydney. Jesteśmy nierozzerwalnie połączeni.

- Odczep się!

- Gdzie jesteś?

Poczuła na sobie spojrzenie Cole'a.

- Nie twój interes.

- Gwen już coś znalazła?

Zacisnęła szczęki. Niech go diabli!

- Tak myślałem - powiedział Bradley wyraźnie z siebie zadowolony. - Przyłącz się do mnie. Znam każdego, kto coś znaczy, stąd do Istambułu.

- Prędeż mi kaktus wyrośnie.

- Razem, maleńka, ty i ja, możemy...

Nie wytrzymała.

- Wbij to sobie do swojej tępej głowy, Bradley: nie będę z tobą pracować.

- Ależ będziesz.

-Nie.

- Dobrze wiesz, że to tylko kwestia czasu.

- Ani teraz, ani nigdy...

Cole wyjął jej telefon z dłoni.

- Chyba słyszałeś, co pani powiedziała - rzekł do Bradleya. Zaniemówiła ze zdumienia.

- Naprawdę? - Cole zerknął na nią kątem oka. - Chyba nie wiesz, komu wchodzisz w drogę.

Rozłączył się. Oddał jej telefon.

- Kto to był? - spytał.

- Bradley Slander - odparła.

- Były narzeczony? Zadrżała na samą myśl.

- Tropiciel antyków. Padalec, który ma wiele kontaktów na czarnym rynku.

- Ale nie zamierzasz z nim współpracować?

- Prędzej dam się goła przeciągnąć przez mrowisko.

Cole się uśmiechnął.

- To było bardzo obrazowe - powiedział.

Zdusiła uśmiech. Rozluźniła się. Uspokoila. Nie stanie się nic złego, pomyślała. Bradley jest daleko. I nie ma pojęcia o sekrecie babci.

- Czego chciał? ,

- Próbuje odnaleźć „Piorun”.

Cole mocniej zacisnął dłoń na kierownicy.

- Po co? Przecież brosza jest moja.

- Ten ma do niej prawo, kto ma ją w ręce.

- W ten sposób stanie się złodziejem.

- Wiem. - Zamknęła oczy. Jeśli Irene Cowan sprzedała broszę albo komuś oddała, jeżeli trafiła ona za ocean, sprawa mogła się skomplikować jeszcze bardziej.

- Musimy ją odnaleźć przed nim - stwierdziła. - Wtedy wszystko będzie łatwiejsze.

Przez chwilę Cole patrzył na nią w milczeniu.

- Jest coś, czego mi nie mówisz - odezwał się wreszcie.

Z trudem zachowała kamienną twarz. Nie wolno jej było okazać lęku.

- Jest wiele rzeczy, o których ci nie mówię. - Najlepszą obroną jest atak. - Ale robię wszystko, co w mojej mocy, żeby odnaleźć broszę. Nie okłamuję cię. Jeśli brosza trafiła na czarny rynek, Bradley jest prawdziwym zagrożeniem.

- Jak wielkim?

- Zależy mu na niej. Na szczęście Gwen jest z nami. Ona jest dobra.

Cole zastanawiał się nad czymś intensywnie.

- A ty, Sydney?

- Co ja?

- Jesteś dobra?

- W szukaniu antyków? Najlepsza.

Skinął głową w stronę antykwarium, z którego niedawno wyszli.

- To czemu mam wrażenie, że krążymy jak amatorzy?

Jego spojrzenie ciążyło jej coraz bardziej.

- Bo tak naprawdę jeszcze nawet dobrze nie zaczęliśmy szukać.

- No to zacznijmy.

Skinęła głową.

- Masz rację. - Gotowa była natychmiast rozpocząć prawdziwe poszukiwania. Musiała się tylko pozbyć towarzystwa Cole'a.

- Zaczniemy więc od Bradleya. Kim on jest dla ciebie?

- Cierniem w tyłku.

Cole się skrzywił.

- Spałaś z nim?

- Nie! - Skrzyżowała ramiona. - A tak przy okazji, to nie twój interes.

- Jak najbardziej mój.

- Niby dlaczego? Dlatego, że my...

- Ponieważ chcę wiedzieć, jak bardzo zajadła jest jego żądza zemsty.

- Gdybym z nim spała, to byłoby lepiej czy gorzej? - spytała zdezorientowana.

- Odtrącony kochanek jest groźniejszym wrogiem.

- Czy ty jesteś moim wrogiem? - spytała cicho.

- Zostałem odtrącony?

Skuliła się. To był błąd.

- Przepraszam - bąknęła.

- Za co?

- Że o tym wspomniałam.

- Co? Sądziłaś, że zapomniałem?

- Cała ta rozmowa to głupi pomysł.

Włączył kierunkowskaz i skręcili w prawo. Jechali wzdłuż plaży, w szpalerze palm i plażowych parasoli.

- Sydney. - Nie odrywał wzroku od jezdni. - Byliśmy ze sobą. Zostały nam wspaniałe wspomnienia. Myślę, że to zupełnie nie ma znaczenia, czy prowadzimy tę rozmowę, czy nie.

Zacisnęła dłonie. Miał rację. Pamiętała wszystko dokładnie. Ze szczegółami.

- W porządku - powiedziała. Tylko jej głupie serce ścisnęło się z żalu.
- Żadnych poważnych uczuć? - spytał po długiej chwili.
- Żadnych.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cały następny poranek musiała poświęcić na przekonanie Cole'a, że powinni się rozdzielić. W końcu się udało. Cole pojechał wypytywać w kolejnych antykwariatach, a ona skierowała się do ratusza.

W ciemnej piwnicy, pochylona nad czytnikiem mikrofilmów, odkryła, że Irene Cowan przez dziesięć lat płaciła podatki za mały domek przy Risotto Beach. We wczesnych latach osiemdziesiątych jednak jej ślad się urywał.

Sydney włożyła nowy mikrofilm. Nic nie znalazła. Dwie godziny później już się chciała poddać. I wtedy przyszło jej do głowy, żeby przejrzeć wykaz zawartych małżeństw.

Poszła do biura na piętrze i tam trafiła na kolejny ślad. Irene Cowan stała się Irene Robertson i razem z mężem przez następnych piętnaście lat płacili podatki w Oceanside. W połowie lat dziewięćdziesiątych zginęli w wypadku samochodowym.

Ale zostawili syna, Ruperta Cowana. W lokalnej gazecie znalazła wzmiankę, że Rupert ukończył liceum z wysoką lokatą i dostał stypendium na Uniwersytet Stanowy na wydział sztuki. W innej gazecie przeczytała, że skończył studia i dostał pracę w Nowym Jorku.

Przeglądarka internetowa dostarczyła jeszcze jednej informacji: firma Ruperta Cowana wzięła udział w pokazie mody w Miami.

To był przełom. Olbrzymi przełom. Rupert mógł być w Miami.

Sydney musiała dotrzeć tam jak najprędzej. Zaczęła układać plan. Zamierzała podejść do niego jak do każdego innego potencjalnego sprzedawcy. Nie przez telefon, nie listownie, lecz osobiście. Musiała patrzeć

mu w oczy, widzieć jego reakcje. Dostrzegać zmiany nastroju, przejawy zainteresowania lub słabości.

W handlu dziełami sztuki było to bardzo ważne.

Szła przez hol, stukając obcasami po marmurowej posadzce i wybierając numer Gwen.

- Halo? - usłyszała.

- Musisz wysłać nas do Miami.

- Sydney?

- Tak. To ja.

- Co jest w Miami?

- Nie mogę ci powiedzieć. Ale musisz wskazać nam jakiś ślad.

- O! Fałszywy trop?

-Tak.

- Co się dzieje?

- Wiesz, że nie prosiłabym, gdyby to nie było ważne.

- Coś znalazłaś. Co to jest?

- Nazwisko - odparła Sydney niechętnie.

- No! Gdzie? Jak?

- Nie mogę ci powiedzieć. Muszę dochować tajemnicy.

- Ktoś jeszcze się tym zajmuje?

- To jest, hm, skomplikowane.

- Jestem inteligentna. Zrozumiem.

- Wiem. - Ale nie mogła jej powiedzieć. Nikomu nie mogła zdradzić, że istnieje Rupert. Dała słowo babci.

- To czego właściwie ode mnie oczekujesz? - spytała Gwen.

- Żebyś nas wysłała do Miami.

- Nie tego oczekiwałam.

Sydney westchnęła.

- Jestem tylko marionetką?

- No... trochę...

- To znaczy, że mam przestać wydzwaniać do Edynburga i Rzymu i prosić o przysługi? - Gwen prawie krzyczała.

-Tak.

- Sydney!

- Do tej pory wcale tak nie myślałam. Przysięgam. Tylko właśnie odkryłam...

- Dobrze.

- Przepraszam. - Sydney poczuła wyrzuty sumienia.

- Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebowała pomocy - powiedziała Gwen bezbarwnym głosem.

- Na pewno. I, Gwen...

- Tak?

- Później powiem ci wszystko, co będę mogła. Ale nie teraz. To bardzo ważne.

- Słyszałam.

- Zadzwonię do ciebie z Miami.

- Będę spała. - Gwen się rozłączyła.

Sydney wyłączyła telefon i pchnęła szklane drzwi.

Wyszła na szerokie schody i zakłęła pod nosem. Gwen była dobrą przyjaciółką. Może powinna była jej powiedzieć...

Schodziła po schodach, stukając palcem w telefon. Zadzwonić czy nie? - zastanawiała się. Gwen była najlepszą przyjaciółką. Ale przecież dała słowo babci.

- Postanowiłem spytać sam... - usłyszała znajomy głos.

Zamrugnęła zaskoczona. Stała twarzą w twarz z Bradleyem Slanderem.

- ...czego można się doszukać w ratuszu w Oceanside. Mróz przebiegł jej po kościach.

- No dalej, Sydney - zarechotał. - Powiedz staremu Bradleyowi, co znalazłaś.

- Nic. - Gniew zaczął odbierać jej oddech. Pospiesznie odtwarzała w myślach każdy swój krok tego dnia. Co mógł wyśledzić? Jak mogła mu się dać tak wytropić? Czy mógł podsłuchać jej rozmowę z Gwen? Czy wiedział o Miami?

- Podzielimy się fifty-fifty - rzucił, maszerując raźnie u jej boku.

- Spadaj.

- No, to było niegrzeczne.

Sydney zatrzymała się gwałtownie na środku chodnika i odwróciła do niego. Straszna myśl przyszła jej do głowy. Może rozmawiał z babcią Cole'a? Może pojechał na ranczo i wypytywał ludzi?

- Skoro jesteś taki cholernie dobry, to po co ci moja pomoc? - Chciała wybadać, co wiedział.

Przysunął się do niej.

- Bo stanowimy świetny zespół, Wainsbrook. Bez ciebie to nie jest takie przyjemne.

- Chcesz powiedzieć, że nie zależy ci na zysku?

Oczy mu się zwęziły.

- No właśnie. Nawet przez moment nie uwierzyłaś, że ją odnajdę.

- Szczerze mówiąc - odgarnęła włosy z czoła - nie sądzę, żeby ktokolwiek ją odnalazł.

- To po co tracisz tu czas?

- To mój czas.

- Co już mamy?

- Ja mam zaginioną broszkę. - Liczyła po cichu, że jego próżność każe mu się zdradzić.

- Znamy wiek falsyfikatu - wyliczał.

- Oczywiście. - Nadal czekała.

- Wiemy, że należy do rodziny Ericksonów.

Kiwnęła głową. Z wyrazu jego twarzy usiłowała odczytać, co wiedział. Czy rozmawiał z babcią? Czy był w Teksasie?

- Rozmawiałaś z nimi?

- Jestem tu razem z Cole'em Ericksonem - powiedziała. Może w ten sposób zdoła odwrócić uwagę Bradleya od babci.

Lecz Bradley zachował kamienne oblicze. Nie okazał zdumienia.

- To ten facet z telefonu? - spytał.

- Tak. - Sydney westchnęła przeciągle, udając zmęczoną. - Nic z niego nie wyciągnęłam. Chcesz ty spróbować?

Tym razem Bradley przyjrzał jej się podejrzliwie. Ale po chwili się uśmiechnął.

- Nie - powiedział.

Uniosła brwi, niby zdziwiona.

- Nie chcę go denerwować. - Bradley zachichotał. - Chyba ma na ciebie chętkę. Nie należy mu wchodzić w paradę.

Omal się nie udławiła.

Bradley zbliżył się jeszcze bardziej i ściszył głos.

- Czemu z nim nie porozmawiasz? Podrzucę ci kilka pytań, a ty mi powiesz, co odpowiedział. Co ty na to?

Postanowiła udawać, że się do niego przyłączyła.

- Dobrze - rzekła skwapliwie. Liczyła, że w ten sposób zyska na czasie.

- Nie bój się być przekonująca - wyszeptał jej prosto do ucha. Co on sugeruje?

- Wiesz, co mam na myśli? - Pogłaskał ją po ramieniu. -Malutki flirt. Jakiś buziak...

Sydney zacisnęła zęby. Miała ochotę walnąć go w tę jego paskudną gębę.

- Dobrze - powiedziała jednak.

- Moja dziewczynka. - Pocałował ją w policzek.

W niebotycznym zdumieniu Cole patrzył, jak jakiś przylizany bubek całował Sydney na środku chodnika. Zacisnął dłonie na kierownicy. Miał już wysiąść z auta i rozwalić tamtemu głowę, gdy usłyszał za sobą przeraźliwy dźwięk klaksonu.

Podniósł głowę i zobaczył zielone światło. Znów spojrzął na Sydney. Uśmiechała się do nieznajomego. Cole z wściekłością włączył pierwszy bieg.

Nic dziwnego, że tak jej zależało, żeby się rozdzielić. Miała coś na boku, a on stał jej na drodze. Nieważne, czy to był jej kochanek, czy tajemniczy informator, ale na pewno tym razem nie działała w interesie rodziny Ericksonów.

Cole nie zamierzał tego tak zostawić. Zadzwoeni do najlepszej firmy detektywistycznej w kraju i zleci im zadanie.

Wjechał na parking w podziemiu hotelu. Windą wjechał do holu i zatelefonował do Kyle'a. Wypytał o wyniki poszukiwań wśród sąsiadów. Później zatelefonował do Josepha Neely'ego, żeby się dowiedzieć o firmę detektywistyczną.

Kyle nie miał żadnych nowin. Za to Neely przekazał mu całą listę agencji.

- Cole? - usłyszał głos Sydney dobiegający zza łączących ich pokoje drzwi.

Sięgnął po telefon. Zamierzał zacząć od firm z Los Angeles.

Usłyszał zbliżające się kroki.

- Znalazłeś... Co robisz? - spytała.

Popatrzył prosto w jej piękną zdradziecką twarz.

- Należałoby raczej zapytać, co ty robisz.

- Szukam „Pioruna”. - Patrzyła nań niepewnie.

- Znalazłaś?

- Ja... Nie.

- Dowiedziałaś się dzisiaj czegoś nowego?

Pokręciła głową.

- Zupełnie nic? Nic interesującego?

Milczała.

Straciła swoją ostatnią szansę.

- Dzwonię do agencji detektywistycznych - zaczął stukać w klawiaturę telefonu.

Podeszła bliżej. Coś w jej postawie sprawiło, że się zawahał. Sprytna.

- Dlaczego? - spytała.

- „Amber i Wspólnicy” - usłyszał w słuchawce.

- Chciałbym wynająć prywatnego detektywa - odezwał się Cole. -

Muszę odnaleźć zaginioną biżuterię.

Sydney stanęła tuż przed nim.

- Nie rób tego.

Zignorował ją.

Popatrzyła znacząco na wyłącznik telefonu. Cole zakrył dłonią mikrofon.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł.

- Przełączę pana do Deana Skye'a - poinformowała recepcjonistka.

- Rozłącz się - poprosiła Sydney.

-Nie.

- Dlaczego to robisz?

- Bo chcę znaleźć „Piorun”.

- Znajdziemy „Piorun”.

Cole prychnął kpiąco.

- Cole!

- Tu Dean Skye.

- Panie Skye - odezwał się Cole - znalazłem się w sytuacji...

Sydney wyciągnęła rękę.

Cole próbował ją złapać, ale nie zdążył. Połączenie zostało przerwane.

- Co, do... - Ścisnął jej przegub.

Skrzywiła się boleśnie. Natychmiast ją uwolnił.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - krzyknął.

- Nie możesz tego zrobić.

- Owszem. Mogę. To moja brosza. Mój problem. Ty nawet nie musisz tutaj być.

-Ale...

- Jesteś zbyt ciężkim balastem, Sydney. Wracaj do domu.

Zamrugnęła gwałtownie.

- Nie rozumiem. Co się stało? - spytała.

Zobaczył ją w ramionach innego mężczyzny. To się stało. Wtedy zrozumiał, że nie może jej ufać. Chociaż nie umie już bez niej żyć. Spędził z nią tylko jedną noc, a nie potrafił pohamować zazdrości.

Musiał ją odesłać, zanim zrobi coś naprawdę głupiego i skompromituje rodzinę.

- Cole?

- Poznałem twój mały sekret - rzucił.

Pobladła. Jej zielone oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Ramiona jej opadły.

-Jak...

Taka reakcja potwierdziła jego najgorsze przypuszczenia.

- Widziałem, jak go całowałaś. Ścisłałaś go...

- Kogo?

- Faceta na chodniku.

- Teraz?

Cóż to było za pytanie.

- Tak, teraz. Ilu facetów całowałaś do tej pory?

- Chodzi ci o Bradleya?

- Nie znam jego imienia.

Rumieńce wróciły na jej policzki. Wydawała się bardziej zawstydzona niż przestraszona.

- Zadzwoiłeś do agencji detektywistycznej, bo zobaczyłeś, jak całował mnie Bradley Slander?

- Zadzwoiłem do agencji detektywistycznej, ponieważ spędziłaś przedpołudnie z Bradleyem zamiast robić to, co do ciebie należało.

- Byłam z nim tylko dwie minuty.

- Musiałaś być bardzo rozczarowana - zadrwił. - A przy okazji, jeśli to był Bradley Slander, to na pewno jeszcze nie został odtrącony.

- Myślisz, że z nim spałam?! - krzyknęła.

Zrobiło się przeraźliwie cicho.

- Całowałaś go na pożegnanie.

- To on mnie pocałował - sprostowała. - W policzek. W miejscu publicznym.

- Nie dałaś mu w twarz.

- Ale też nie odwzajemniłam pocałunku. On jest sprytny i nieprzewidywalny. Chciałam tylko, żeby sobie poszedł.

- Widziałem, co widziałem - upierał się, ale już z mniejszą siłą.

- Widziałeś, że pocałował mnie w policzek, bo tylko tyle zrobił.

- Nie musiałaś się uśmiechać.

- Zaciskałam zęby.

Cole się nie odezwał.

- Cole, przez całe przedpołudnie szukałam „Pioruna”. Prędzej podciąłabym sobie żyły, niż poszła z nim do łóżka.

Coś w nim pękło. Niedobrze. Ale nic nie mógł na to poradzić.

Jej oczy płonęły jak szmaragdy. Podeszła bliżej.

- A ty mnie obrażasz tylko dlatego, że coś sobie wyobraziłeś. To, że przespałam się z tobą...

- Przepraszam.

- ..nie robi ze mnie...

- Przepraszam.

Odetchnęła głęboko.

- Jesteś łajdak, wiesz o tym?

- Jestem łajdak. - Kiwnął głową.

Wskazującym palcem stuknęła go w pierś.

- Powinieneś się wstydzić.

- Wstydzę się. - Znów kiwnął głową.

Ponownie go stuknęła. Lecz tym razem chwycił ją za rękę. Spojrzała mu w oczy. Głos jej złagodniał.

- Jestem osobą godną zaufania. Mogę przedstawić referencje.

- Nie potrzebuję referencji - szepnął.

- To czego potrzebujesz?

Czego potrzebował? Potrzebował pewności, że jeśli o nią chodzi, emocje nie przysłaniają mu rozsądku. Potrzebował pewności, że jest po jego stronie. Że nie kieruje się jakimiś ukrytymi motywami.

Westchnęła głośno.

- Czy myślisz, że mógłbyś jeden jedyny raz rozstrzygnąć wątpliwości na moją korzyść?

- Taak - odparł. - Mógłbym.

- To dobrze.

Wciągnął w nozdrza zapach jej włosów. Poczul budzące się w nim pierwotne instynkty. Zapragnął wziąć ją w ramiona, pocałować. Przypomnieć sobie, że to on z nią spał. Poczul w żyłach pulsowanie krwi wikingów. Ericksonowie zawsze brali to, czego chcieli. A Cole chciał Sydney.

Pragnął jej.

Schylił się i dotknął ustami jej warg. Całą siłą woli pilnował się, żeby jej nie objąć. Gdyby chciała, mogła się cofnąć.

Ale nie zrobiła tego. Nie mógł już czekać dłużej. Wplótł palce w jej włosy. Jakże tęsknił za tą chwilą... Zrobił mały krok w przód i poczuł gorąco jej ciała.

- Tęskniłem za tobą - szepnął. - Tak bardzo cię pragnę. Czy to możliwe, że minął dopiero tydzień od ich wspólnej nocy? Jemu się zdawało, że cała wieczność.

- Ja też tęskniłam. - Westchnęła. - Wiem, że ożenisz się z inną...

- A ja wiem, że dla ciebie to tylko biznes... Pocałowali się jeszcze mocniej. Marzył o tym, by już nigdy nie spojrziała na innego mężczyznę...

Zaczął rozpinać guziki jej bluzki. Ostrożnie dotknął jej brzucha. Cóż za jedwabście gładka skóra.

Położył dłoń na jej piersi. Przez biały koronkowy stanik czuł wyraźnie jędrną sutkę. Zapragnął zerwać z niej ubranie. Natychmiast.

Dla niej to biznes? Niech tam! Drugą ręką chwycił ją za pośladki i przycisnął do siebie. Żeby nie miała żadnych wątpliwości, jak mocno jej pragnął.

- Cole - jęknęła.

Nogi się pod nią ugięły. Objął ją w talii. Podtrzymał.

- Co ty robisz? - wymamrotała.

- A ty co robisz?

Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego.

- Cole, proszę.

- Wszystko, co zechcesz - szepnął - Wszystko.

- Musimy jechać. -Hm?

Oderwała się od jego ust. Oddychała nierówno i ciężko.

- Musimy jechać do Miami.

- Co? - Cole z trudem zbierał myśli.

- Dowiedziałam się... Dzwoniła Gwen... Musimy pojechać do Miami.

Patrzył na jej na pół obnażone piersi i kręcił głową.

- Teraz?

- Teraz. Bradley tu jest. Nie możemy tracić czasu. Na dźwięk tego imienia Cole wzdrygnął się.

- Tak to nazywasz? Traceniem czasu?

- Przestań. - Zamknęła oczy i westchnęła ciężko. Dobrze. Niech tam. Rzucamy wszystko i lecimy przez cały kontynent, pomyślał.

- W porządku - rzekł posępnie. - Lecimy do Miami.

- Myślisz, że chciałam to przerwać?

- Mów, co chcesz, ale to właśnie zrobiłaś, prawda? Zaciśnęła zęby.

- Cole'u Nathanielu. - Zastygł. Mało kto tak się do niego zwracał. - Pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek mężczyzny w moim życiu. I gdyby to ode mnie zależało...

- Pragniesz mnie?

- Tak.

- Ale wyjeżdżamy.

- Tak! Bradley może zacząć obserwować hotel.

- Ale naprawdę mnie pragniesz. - Świat wydał mu się nagle piękniejszy. Miami? Zaledwie cztery godziny lotu. Dotrą tam skoro świt. Będzie jeszcze dużo czasu do otwarcia antykwariatów.

- Tak. Pragnę cię - przyznała. - Mam napisać oświadczenie czy co?

- W Miami też mnie będziesz pragnęła?

- Nie, jeśli się nie zamkniesz.

Cole uśmiechnął się szeroko.

- Już się zamykam.

- Dobrze. Bierz bagaże.

- Mogę wezwać taksówkę?

- Nie. Wymkniemy się tylnym wyjściem i złapiemy jakąś kilka przecznic dalej.

Uściskał ją mocno.

- Jesteś wyjątkowo seksowną tajną agentką.

Rzuciła mu niecierpliwe spojrzenie.

- Moje pożądanie wyraźnie spada - powiedziała.

- Już się zamykam.

- Dobry pomysł.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy tylko zatrzasnęły się za nimi drzwi pokoju hotelowego w Miami, Cole chwycił Sydney w objęcia. Żądze ogarnęły ich jak płomień. Drżącymi palcami zaczęła rozpinąć mu koszulę. On ściągnął z niej zakiet.

Wpiła się ustami w jego pierś. Dotknęła czubkiem języka podbródka.

- Przez ciebie oszaleję - wysapał.

- Pragnę cię.

Odwzajemnił jej pocałunki. Mocniej i namiętniej. Rozpiął jej bluzkę i zsunął z ramion. Cofnął się o krok i spojrzał na jej stanik.

Sięgnęła za plecy i biała koronka spadła na podłogę. Oczy mu pociemniały, a krew zawrzała.

- O rany! - Przyciągnął ją do siebie. Głaskał i całował. Coraz mocniej i gwałtowniej.

Wplotła mu palce we włosy.

- Zatrzymaj czas - rzuciła błagalnie.

Drapał ją delikatnie po plecach, aż dostawała dreszczy.

- Zrobię co w mojej mocy - obiecał. Pocałował krawędź jej ucha. Pocałował ją w kark.

Jeszcze, jeszcze, myślała. Jak mogła sądzić, że potrafi bez tego żyć?

Zmarnowali sześć dni, unikając się. To prawie zbrodnia.

Zerwał z niej resztę ubrania. Gładził i pieścił, a każde jego dotknięcie zostawiało na jej skórze gorący ślad. Chwycił ją w ramiona i zaniósł do wielkiego łóżka.

- Powiedz mi, kiedy cię puścić - powiedział.

- Jeszcze nie.

Uwielbiała to uczucie. To trwanie w jego silnych ramionach.

Uśmiechnął się. Pocałował ją w oczy. W nos.

- Naprawdę to lubisz - rzucił.

- Naprawdę - przyznała.

- Kojarzy ci się z czymś?

- Z jaskiniowcem?

- A może z wikingiem?

- O, tak.

Wzrok mu zapłonął. Wpił się w jej usta. Mocno i długo. Powoli położył ją na łóżku i odgarnął włosy z jej czoła.

- Jesteś piękna.

Czuła się piękna i pożądana.

Obsypał ją pocałunkami. Zaczął od kostki, przez łydkę i kolano, aż dotarł do uda. Drżała z każdą chwilą mocniej. Oblizywała wyschnięte wargi. Szeptala jego imię.

W jego ramionach czuła się bezpieczna. Cole nie potrafiłby jej skrzywdzić. Nie potrafiłby skrzywdzić nikogo.

Nagle poczuła jego dłoń tam, gdzie jeszcze przed chwilą czuła jego usta. Jej biodra same się uniosły, wychodząc naprzeciw pieszczocie.

Cole przesunął się wyżej. Chwycił w usta naprężoną sutkę. Jęknęła. Objęła jego głowę i przycisnęła do siebie z całej mocy. Pragnęła go całym ciałem. Każdym nerwem. Otworzyła się niecierpliwie i zachęcająco. Tuliła go do spragnionych piersi i całowała jak szalona.

Głaskał ją i pieścił powolnymi ruchami. Całował. Wcisnął się między jej uda. Czas się zatrzymał.

Cole zaczął bardzo powoli, lecz już po chwili przyspieszył, żeby potem znów zwolnić, aż Sydney zaczęła dygotać w kolejnych spazmach rozkoszy. Raz po raz szeptem wymawiał jej imię.

W końcu oboje zapadli w ciemność.

Wiele godzin później ocean różowił się w promieniach wschodzącego słońca. Butelka szampana była prawie pusta. Wentylator pod sufitem obracał się leniwie.

Cole zanurzył truskawkę w bitej śmietanie i wsunął w usta Sydney.

Wbiła w nią zęby z rozkoszą.

Zjadł drugą połówkę, myśląc, jak wspaniałe byłoby takie życie.

- A więc - ciągnęła - twój praprapradziadek, bezecny i seksowny Jarred Erickson...

- Mam nadzieję, że mam coś po nim. - Cole rozparł się wygodnie na poduszkach.

- Chodzi ci o bezecność czy seksowność? - Położyła się na brzuchu i wsparła brodę na rękach.

Cole przyjrzał jej się uważnie.

- Chyba i o jedno, i o drugie - rzekł z namysłem. Uśmiechnęła się. Sięgnęła po kieliszek.

- Mówisz więc, że Jarred zdecydował, że ranczo nigdy nie może zostać podzielone?

Cole kiwnął głową.

- Moi przodkowie mieli szczególny talent. Co kilka pokoleń ktoś wymyślał coś takiego, co powodowało spustoszenia na setki lat. Poza tym większość z nich to byli szaleńcy. Zwłaszcza ci, którzy parali się piractwem.

Upiła łyk szampana. Cole natychmiast ją pocałował.

- Uznałeś więc, że najlepszym rozwiązaniem twoich problemów będzie wymyślenie kolejnej reguły? - spytała.

- Właśnie tak. Teraz moja kolej. Zastosowałem się do ich...

Sydney roześmiała się wesoło.

-Co?

- Do czegoż to się zastosowałeś?

- Do zasady przekazywania „Pioruna”.

- Ha! Zostałeś wrobiony w małżeństwo.

To nie było miłe. Popatrzył na nią spod oka.

- Zrobiłem to absolutnie dobrowolnie.

- Bo już nie miałeś wyjścia.

Sięgnął po swój kieliszek.

- Liczy się, że to zrobiłem - powiedział.

- I na przekór praprapradziadkowi Jarredowi chcesz podzielić ranczo na pół.

- Bo to jest rozsądne. Trzymanie go z uporem w całości jest głupie.

- Zawsze uważasz, że to ty masz rację, a inni się mylą?

- Oczywiście.

- Oczywiście - skrzywiła się.

- Hej! Jeśli człowiek nie ufa samemu sobie, to co mu pozostaje?

Roześmiała się tak gwałtownie, że omal nie rozlała szampana. Usiadła.

- Wiesz - rzekła z przekorą - ten, kto pierwszy dostrzegł problem dziewczynek i piwa, nieźle was, Ericksonów, urządził.

- Dziewek i piwa?

- Tak. No, wiesz: dziewczki i piwo.

- O czym ty mówisz?

- Babcia nic ci nie mówiła?

Cole zaprzeczył.

Sydney sięgnęła ponad nim po kolejną truskawkę.

- To dlatego broszę dostają kobiety - tłumaczyła. - Ktoś w czternastym wieku uznał, że wy, mężczyźni, możecie ją sprzedać na dziewczki i piwo.

Cole uśmiechnął się łobuzersko.

- Co? - spytała.

- Komu potrzebne dziewczki i piwo? - Uniósł w górę kieliszek. - Mam szampana i...

- Uważaj, kowboju! Pocałował jej truskawkowe usta.

- Księżniczkę.

Cofnęła się.

- Księżniczkę?

No, dobrze. Trochę zbyt infantylnie.

- Rozpalonego kociaka? - powiedział ostrożnie. Wysoko uniosła brwi.

- Śliczną, inteligentną, zabawną, wspaniałą damę.

- Tak już lepiej.

Wyjął kieliszek z jej dłoni i odstawił razem ze swoim na stolik.

- Chodź tu - powiedział. Zamknął ją w ramionach i przewrócił na materac.

Westchnęła i położyła głowę na jego ramieniu. Pogłaskał ją po głowie.

- Dziewki i piwo. Jak to możliwe, że wiesz o mojej rodzinie więcej niż ja?

- Jestem ciekawska. Zadaję mnóstwo pytań.

- Pozwól, że ja ci zadam pytanie.

- Śmiało.

- Powiedziałaś, że miałaś przybranych rodziców.

- Kiedy miałam pięć lat, moi rodzice zginęli w pożarze domu.

Cole objął ją mocniej.

- Moi przyrodni rodzice były przyjaciółmi rodziny. Wychowywali mnie niania Emma i papa Hal. Ale nie byli już młodzi i wkrótce umarli.

Żal ścisnął serce Cole'a. Nie umiał sobie wyobrazić życia bez rodziny.

- Musisz bardzo za nimi tęsknić - zawyrokował.

- Za nianią i papą tak, ale moich rodziców właściwie nie pamiętam.

Mam tylko w głowie jakieś pojedyncze obrazy.

- A fotografie?

- Spłonęły. Sąsiedzi mieli kilka zdjęć taty. Mama zawsze usuwała się na bok.

Cóż za niesprawiedliwość! - pomyślał Cole. Nie wiedzieć nawet, jak wyglądała twoja matka! Kiedy on stracił matkę, miał dwadzieścia lat. I bardzo cierpiał. Sydney miała pięć.

- Nie znalazło się ani jedno zdjęcie? Nie było nic w gazetach? W kronikach szkolnych? Na pewno ktoś...

- Wszystko w porządku - uspokoiła go.

- A co pamiętasz? - Ujął jej małą dłoń.

- Medalion mamy. Srebrny. Owalny. Na froncie miał wyryty kwiat. Chyba różę. Nie wiem, czyja fotografia była w środku, ale zawsze się nade mną kołysał, kiedy się pochylała, żeby mnie wziąć na ręce. Pamiętam, że zawsze po niego sięgałam.

- Gdzie jest teraz?

- Zniszczył go ogień.

- Och! Sydney.

- Naprawdę wszystko w porządku.

Założył jej włosy za ucho i pocałował w czoło.

- To wiele wyjaśnia - stwierdził.

Uniosła głowę i zadrżała mu w oczy.

- Co wyjaśnia? - spytała.

- Twój zawód. Twoje niepokonane pragnienie odnajdywania antyków.

Odsunęła się.

- Zajmuję się poszukiwaniem antyków, ponieważ jestem magistrem historii sztuki.

- Jesteś magistrem, ponieważ przez całe życie szukasz tamtego medalionu.

- To głupie. Medalion spłonął ponad dwadzieścia lat temu.

- Może tutaj. - Dotknął palcem jej czoła. - Alenie tutaj. - Położył rękę na jej sercu.

- Studiowałaś psychologię?

- Nie, informatykę. I agrotechnikę.

- No to nie masz kwalifikacji, żeby poddawać mnie psychoanalizie.

- Przypuszczam, że masz rację - przyznał. Ale z kwalifikacjami czy bez, wiedział swoje.

Ziewnęła szeroko.

- Powinniśmy się przespać - zaproponował.

- Już ranek.

- Niecałkiem.

Ułożył się wygodniej, nie wypuszczając jej z objęć.

- Powinniśmy się przespać - powtórzył z naciskiem. Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

Cole westchnął. Zasypiał z Sydney w ramionach. Mógłby się do tego przyzwyczaić. Nie powinien. Ona miała swoją karierę. On miał rodzinę.

Ale czuł, że mógłby się do tego przyzwyczaić.

Z zamkniętymi oczami Sydney wsłuchiwała się w oddech Cole'a. Czekwała. Kiedy stał się miarowy i głęboki, otworzyła oczy. Obróciła głowę i przyjrzała mu się uważnie. Był przystojny i pełen powabu. Chciałaby móc być z nim szczerą. Chciałaby móc zabrać go ze sobą, poprosić o radę.

Przez moment się zastanawiała, czy go nie obudzić i nie kazać przysiąc, że dotrzyma tajemnicy. Ale nie mogła. Nie była nawet pewna, czy on sam by tego chciał.

Gdy nabrała pewności, że usnął głęboko, wysunęła się z łóżka.

Była ósma rano w Miami, piąta w Kalifornii, a w Teksasie siódma. Mogła mieć tylko nadzieję, że miniony dzień zmęczył Cole'a tak bardzo, że będzie spał jeszcze przez kilka godzin.

Na palcach wyszła z sypialni i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Usiadła przy biurku, zapaliła lampkę i wyjęła z torebki kartkę z numerem telefonu sekretariatu pokazów mody. Miała nadzieję, że skontaktują ją tam z Rupertem Cowanem.

Po kilku minutach rozmowy w hotelowym notatniku miała już zapisany adres i numer telefonu do firmy Ruperta.

Nie była pewna, czy to był ten Rupert Cowan, którego szukała. Być może traciła tylko czas. Ale musiała to sprawdzić.

Musiała się z nim spotkać osobiście.

Po powrocie będzie się musiała gęsto tłumaczyć Cole'owi, ale nie miała wyboru. Jeśli Rupert ma broszkę, musi ją zdobyć. Wtedy i Cole łatwiej jej wybaczy.

Ubrała się i wyszła.

Cole zbudził się. Sydney nie było. Nigdzie. Nie było jej ani w apartamencie, ani w restauracji, ani w holu.

Wiedział, że powinien przestać stale ją podejrzewać, ale jej zniknięcie go zdenerwowało. Przecież mieli pracować razem.

Niepokoił się. Jeszcze raz rozejrzał się po apartamencie. Jej otwarta walizka leżała na sofie, w łazience były kosmetyki, na stole stała otwarta butelka wody mineralnej.

Co jeszcze?

Popatrzył dookoła.

Na biurku, obok hotelowego notatnika, leżał ołówek. Sprzątaczką go tam zostawiła? A może to Sydney go używała?

Podniósł notatnik do światła. Zobaczył odcisnięte ślady liter. Wziął ołówek i jak w filmie kryminalnym potarł nim ostrożnie kartkę.

Rupert Cowan - 2713 Harper View Road.

Wyglądało jak adres sklepu z kawą.

Musiała mieć jakiś powód, żeby go zapisać i wyjść.

Ale przecież jej ufał.

Zgniółł papier. Może to nawet nie ona pisała, tylko któryś z poprzednich gości? Ale będzie śmiechu, kiedy jej opowie. Wrzucił papier do kosza i usiadł na sofie. Nie mógł się doczekać jej powrotu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Budynek przy 2713 Harper View Road, w przeciwieństwie do pozostałych w tej dzielnicy, miał ciężkie, szare, odpychające drzwi. Sydney weszła do środka bardzo ostrożnie.

Wewnątrz buczały jarzeniówki. Pomieszczenie sprawiało przytłaczające wrażenie. Jakby człowiek wszedł do jaskini. Zewsząd wśród rzędów stołów i regałów z ubraniami słychać było szuranie stóp niewidocznych pracowników. Jakiś mężczyzna pochylał się nad rozłożonymi na jednym ze stołów wielkimi, pokrytymi rysunkami arkuszami papieru.

- Halo? - zawołała Sydney.

Mężczyzna spojrzał na nią. Odgarnął z czoła długie siwiejące włosy.

- Cześć - powiedział.

Podeszła bliżej.

- Szukam Ruperta Cowana.

Wyprostował się.

- Właśnie go znalazłaś.

- Och. Świetnie. Wsparł dłonie na blacie.

- W czym mogę pomóc? - spytał.

Podeszła jeszcze bliżej i wyciągnęła do niego rękę.

- Jestem Sydney Wainsbrook.

- Miło cię poznać, Sydney. - Mocno ucisnął jej dłoń.

- Zastanawiałam się... - Z trudem przełknęła ślinę. - Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać?

- O czym?

- To sprawa osobista. - Serce waliło jej jak młotem. Dłonie zwilgotniały.

- Szukasz pracy? Pokręciła głową.

- To... Wolałabym, żebyśmy gdzieś usiedli. Rupert popatrzył na zegarek.

- No, cóż... Jestem trochę...

- Proszę. Zawahał się.

- Chodźmy na kawę - ustąpił.

- Doskonale.

- Patrice? - krzyknął Rupert przez ramię.

- Taaak? - Z głębi sklepu rozległ się damski głos.

- Wychodzę na moment. Jeśli zadzwonią z agencji, powiedz im, że wszystkie dziewczyny będą nam potrzebne na próbę w niedzielę.

- Dobrze!

Gestem Rupert wskazał drzwi.

Sydney uśmiechnęła się niepewnie. Po chwili znaleźli się w kawiarni za rogiem.

- Co pijesz? - spytał Rupert. - Frappachino? Mochachino?

- Pozwól mi. - Sydney wyjęła portmonetkę.

- Małą, z podwójnym cukrem i dodatkową śmietanką -zwrócił się Rupert do barmanki.

- Dla mnie czarną - poprosiła Sydney.

Usiedli przy stoliku w kącie. Po chwili usłyszeli wycie ekspresu do kawy.

- Nadal będziesz tajemnicza? - spytał Rupert.

Sydney odetchnęła ciężko. Po krótkim wahaniu wyjęła z torebki zdjęcie repliki „Pioruna”.

- Poznajesz? - spytała.

Rupert wziął fotografię w dwa palce i ustawił, wykorzystując oparcie krzesła.

- Jesteś jedną z Ericksonów.

Żołądek Sydney ścisnął się gwałtownie. Wiedział o Ericksonach?

- A więc poznałeś? - Zastanawiała się, jaką przyjąć taktykę. Nie spodziewała się, że znał całą historię. Czy wiedział o babci? O swoim ojcu?

- To jest dziedziczna brosza - rzekł uroczyście. - Matka ostrzegła mnie, że pewnego dnia po nią przyjedziesz.

Skoro wiedział o Ericksonach, to dlaczego się nie ujawnił?

- Co ci dokładnie powiedziała?

Potał podbródek.

- Wiesz, nie takiej jak ty się spodziewałem.

- A kogo się spodziewałeś?

- Kogoś odrobinę mniej szykownego... Kogoś bardziej teksańskiego.

- Nie jestem z Ericksonów.

-Ach!

Nie spodobał jej się jego ton.

- Jestem... przyjaciółką rodziny. - Nie mogła wspomnieć o muzeum. Gdyby pomyślał, że to ono jest zainteresowane kupnem, na pewno podbiłby cenę.

- I jesteś zainteresowana broszą.

- Jestem gotowa ją kupić.

Pokręcił głową.

- Nie jest na sprzedaż.

A niech to! Był sentymentalny.

- Nie wiesz, ile mam do zaoferowania - powiedziała z kamienną twarzą.

Oparł łokcie na blacie i wsparł brodę na pięściach.

- Akurat w tej chwili ma ona dla mnie ogromną wartość.

- Z powodów uczuciowych?

Parsknął śmiechem.

- Uczucia? Wobec broszy?

- To dlaczego?

Pochylił się ku niej.

- Słyszałaś kiedykolwiek o kolekcji „Piorun”?

Sydney pokręciła głową.

- Nie martw się. Usłyszysz. W ubiegłym sezonie wywołaliśmy w Miami niemałe poruszenie. A za dziesięć dni jedziemy do Mediolanu.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- Ta mała broszka, ta głupia mała brosza, którą moja matka praktycznie wyrwała Ericksonom, jest główną ozdobą mojej nowej kolekcji. Śmiało zdecydowane kolory, proste linie, jej majestat i dramatyczna historia. Odtworzyliśmy klejnot haftem. Ostatnia modelka ma ją na sobie na każdym pokazie.

- Kolekcja sukienek?

Pokiwał głową.

- Latami tułałem się po marginesie tego interesu. I nagle, pewnego wieczoru, kiedy szukałem w szufladzie spinek do mankietów, natknąłem się na tę broszę...

Kiedy szukał spinek do mankietów? Trzymał „Piorun” w szufladzie?!

Sydney omal nie dostała ataku serca.

- Sama widzisz - ciągnął. - Może nie ma dla mnie wartości uczuciowej, ale na pewno ma wartość biznesową.

Sydney wypła łyk kawy. Zastanawiała się, jak dalej prowadzić rozmowę. Mogła go zaskoczyć atrakcyjną ofertą... Babcia zadbała o uruchomienie odpowiednich środków w banku. Ale instynkt podpowiadał jej, że za wcześnie było na rozmowę o pieniądzach.

- Czy matka powiedziała ci, w jaki sposób weszła w posiadanie broszy?

Uśmiechnął się znacząco.

- Prezent od kochanego starego tatuśka. Zrozumiałem, że była to zapłata za milczenie.

- Dlatego nigdy się nie kontaktowałeś z Ericksonami?

Rupert odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Można by pomyśleć, że dbałem o jego reputację. A przecież ci kowboje nie byli mną zainteresowani bardziej niż ja nimi. -

Sydney kiwnęła głową. Dobrze, pomyślała. Nie kontaktował się z rodziną.

Znów wypła łyk kawy i starannie dobierając słowa, powiedziała:

- Zapewne się domyślałeś, że dla nich brosza ma wartość uczuciową.

- Pewnie dlatego cię tu przysłali.

Postukała palcem o krawędź filiżanki.

- Jestem gotowa zaproponować ci sto tysięcy dolarów - rzuciła.

Rupert nie zareagował. Nawet powieka mu nie drgnęła. Sydney zakłęła w duchu. Może dał ją kiedyś do wyceny? Niespodziewanie krzesło za jej plecami zaskrzypiało. Na stolik padł długi cień.

- Cokolwiek panu zaoferowała - odezwał się Bradley - ja podwajam.

Sydney poczuła, jakby dostała cios w żołądek.

-Jak...

Przechylił na bok głowę.

- Słucham? Bond to ty nie jesteś.

Bradley podniósł filiżankę Sydney i napił się kawy.

- Widzę, że przeszliśmy już do konkretów, tak?

- Kim pan jest? - spytał Rupert.

- Bradley Slander. - Wyciągnął rękę. - Handluję antykami.

- No to mamy licytację? - spytał Rupert.

- Jeśli ona przedstawi kolejną ofertę, też ją przebiję. -Bradley posłał jej zimne spojrzenie.

Ten człowiek nie miał duszy.

Linia kredytowa babci sięgała trzystu tysięcy. Bradley bez trudu mógł dać więcej. Nawet gdyby Sydney dołożyła swoje oszczędności i tak byłoby za mało.

- To bardzo fascynujące. - Rupert wstał. - Ale chociaż naprawdę chętnie dodałbym sześciocyfrową kwotę do mojego konta, „Piorun” nie jest na sprzedaż.

- Ale... - Sydney ruszyła za nim.

- Przykro mi, Sydney.

- Czteryście tysięcy - podbił stawkę Bradley.

Rupert się zawahał.

Sydney z trudem przełknęła ślinę. Czy powinna... To pochłonie wszystkie jej oszczędności.

- Żałuję. - Rupert zrobił kolejny krok.

Sydney zerwała się na równe nogi, omal nie przewracając krzesła.

Nie mogła pozwolić Rupertowi odejść, nie załatwiwszy sprawy. Bradley nie ustąpi. W ciągu godziny może zadzwonić do Oslo i podbić stawkę. A wtedy babcia już nigdy nie zobaczy broszy.

- Naprawdę, Rupercie... - zaczęła. - To jest pamiątka rodzinna.

- A co mnie to obchodzi? - Rupert potrząsnął głową. Czy powinna zdradzić mu prawdę? Że jego matka była szantażystką? Czy powinna wyłożyć karty na stół i wydać babcię?

Chyba lepiej wydać babcię, niż stracić „Piorun” na zawsze, czyż nie?

Serce waliło jej jak młotem. Potrzebowała czasu do namysłu. Gdzieś na boku, z dala od nich. Rupert ruszył do drzwi.

- Zaczekaj! - zawołała.

Odwrócił się i pomachał ręką na pożegnanie.

- Potrzebuję jej w Mediolanie, Sydney. W Mediolanie i później.

Replika! Nagła myśl zaświtała jej w głowie.

- Mogę ją zamienić - rzuciła. Zastygł z ręką na klamce.

- Mam replikę - zbliżyła się do niego. Uniósł brwi.

- Jest dobra. Bardzo dobra. Czyste diamenty, pięciokaratowe rubiny.

Możesz mieć i pieniądze, i „Piorun”.

- Pół miliona - wycharczał Bradley.

- Muszę ją zobaczyć - powiedział Rupert do Sydney.

- Mogę mieć ją tutaj po południu. Bradley z trzaskiem odsunął krzesło.

- Za pół miliona może pan zrobić dwie kopie i jeszcze panu zostanie.

- W ciągu tygodnia? - spytał Rupert.

Bradley zacisnął szczęki. Spojrzenie mu pociemniało. Rupert zwrócił się do Sydney:

- Obejrzę ją... Ale musi być doskonała.

- Jest doskonała. - Przemilczała szczegół obróbki diamentów.

Przez długą chwilę się zastanawiał.

- Tutaj - powiedział w końcu. - O drugiej. Teraz muszę iść.

Gdy tylko wyszedł, Sydney chwyciła za telefon. Bradley wyciągnął swój z kieszeni i wyszedł z kawiarni. Na pewno dzwonił do Oslo. Po południu powróci z jeszcze wyższą ofertą.

To nic! - pomyślała Sydney i wystukała numer telefonu babci.

O drugiej Cole musiał się pogodzić z myślą, że został wystrychnięty na dudka.

Sydney nie wracała. Musiała mieć naprawdę ważny powód. Najwyraźniej uznała, że już nie jest jej potrzebny i zostawiła go bez skrpułów.

Może zamierzała sprzedać „Piorun” na czarnym rynku? Może tak bardzo zależało jej na karierze? A może w ogóle nie pracowała w Muzeum Laurenta?

Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa. Oszukała go.

Wstał z kanapy i wyjął z kosza na śmieci pomiętą kartkę.

2713 Harper View Road.

Jeden z pracowników Josepha Neely'ego osobiście dostarczył replikę na lotnisko w Miami. Sydney natychmiast pojechała do kawiarni. Ku jej zdumieniu, Rupert wyjął lupę i zaczął uważnie oglądać klejnot.

Bradley siedział obok Sydney. Nerwowo bębnił palcami po stole.

- Pięćset pięćdziesiąt tysięcy - powiedział zduszonym głosem.

Sydney wyczuła, że był to kres jego możliwości.

- Czteryście tysięcy i replika - oświadczyła, patrząc Bradleyowi prosto w oczy.

Rupert uniósł głowę.

- Czy moglibyście przestać? - rzucił. Bradley mocniej zacisnął zęby.

Po straszliwym kwadransie Rupert schował lupe do kieszeni i zamknął kasetkę z repliką. Sydney wstrzymała oddech. Rupert pomалу wyciągnął do niej rękę.

- Czteryście tysięcy - powiedział.

- W czekach bankierskich? - spytała.

Bradley zaklął. Rupert posłał mu groźne spojrzenie.

- Mogą być czeki. - Wyjął z kieszeni plik kartek. - Podpisz tutaj.

Podpisała.

Rupert uśmiechnął się z zadowoleniem. Znow sięgnął do kieszeni i podał jej zniszczone puzderko. Otworzyła je z namaszczaniem i zadygotała.

- Mogę? - Wskazała na kieszeń, do której schował lupe.

- Służę uprzejmie.

Długo i staranie oglądała broszkę ze wszystkich stron. Ciepło zadowolenia rozlało się po jej duszy. „Piorun” wracał do domu.

Wyjęła z torebki dwa czeki bankierskie: jeden z linii kredytowej babci, drugi z własnego konta. Rupert podał jej pióro. Bradley walnął pięścią w stół. I już było po transakcji. Wszyscy wstali.

- Odprowadzić cię do taksówki? - spytał Rupert i zerknął na Bradleya.

Szczęśliwa Sydney rozkoszowała się chwilą.

- Nie sądzę, żeby mnie napadł - rzekła.

- Człowieku - mruknął Bradley. - Jesteś kompletnym wariatem.

Rupert zignorował go.

- Spotkanie z tobą, Sydney, było bardzo interesujące - przyznał.

Sydney starannie zamknęła torebkę.

- Nie nadymaj się tak - rzucił do niej Bradley.

- Nie nadymam się - odparła i ruszyła do wyjścia. - Jestem szczęśliwa za całą rodzinę Ericksonów.

- Kiedyś się udławisz tą swoją słodyczą.

Sydney otworzyła szklane drzwi i popatrzyła na niego przez ramię.

- Miło się z tobą robi interesy, Bradleyu. Odwróciła się, zrobiła krok i wpadła prosto na Cole'a. Chwycił ją za ramiona.

- Ty kłamliwa oszustko, ty...

- Cole!

Znów miał na sobie codzienne ubranie Teksańczyka. Flanelowa koszula z zawiniętymi rękawami, sprane dżinsy i wysokie buty.

Ponad jej ramieniem popatrzył na Bradleya.

- Widzę, że zmieniłaś zdanie.

Nie. Och, nie!

Zamiast żołądka miała kamienny blok. Musiała mu wyjaśnić.

- To nie...

Cole uciszył ją lodowatym spojrzeniem.

- Nawet nie próbuj - rzucił.

-Ale...

- Naprawdę uważasz, że będę wysłuchiwał wszystkiego, co masz do powiedzenia?

Bradley podszedł bliżej.

- Idź dalej - warknął Cole i stanął między Sydney i Bradleyem.

Przez moment Bradley się wahał. Uniósł wysoko dłonie i cofnął się o krok.

- W porządku. Mnie nic do tego.

Odszedł.

- Musisz mi pozwolić wytłumaczyć - odezwała się Sydney. Gorączkowo się zastanawiała, jak to zrobić. Przecież nadal nie mogła nic powiedzieć o babci.

- Wyjaśnić? - Parsknął śmiechem. - Wyjaśnisz mi, dlaczego zostawiłaś mnie w hotelu i kupiłaś sobie „Piorun”?

- To nie dla...

- Okłamywałaś mnie od samego początku.

- Czy wysłuchasz mnie wreszcie?! - Co mogła powiedzieć? Gdyby Bradley się nie wtrącił... Gdyby Cole został w hotelu...

- Przekonałem się naocznie, że mnie okłamujesz.

- Ja nie...

Potrząsnął głową.

- Okazało się, że każde słowo, które opuściło twoje śliczne usteczka, było kłamstwem.

- Nigdy cię nie okłamałam.

- Tak? To co miało znaczyć: „Cole, mam ślad broszy. Wiem, kto ją ma. Możemy ją odkupić”. Czy pomiąłem coś? Nie uważałem?

- To nie jest takie proste.

Skrzyżował ramiona.

- Wszystko jest bardzo proste. A teraz oddaj ją, zanim wezwę policję.

- Każesz mnie aresztować?!

- Oczywiście. - Jego oczy zalśniły jak szafiry.

- A jeśli... - Co mogła powiedzieć? Jak wyjaśnić wszystko, nie mówiąc nic o babci?

- Zamierzasz mnie uraczyć kolejną wiarygodną historyjką, Sydney? Byłam tam i tam. Zrobiłam to i to. - Wyciągnął rękę. - Oddaj.

Ręce jej opadły. Nie miało znaczenia, co powiedziała. Nie miało znaczenia, co zrobiła.

- Widzę, że już mnie osądziłeś i skazałeś, prawda?

- Być może nie jestem zbyt bystry, ale na pewno nie jestem kompletnym idiotą.

Z najwyższym trudem powstrzymywała łzy. Przynajmniej babcia odzyska broszkę, pomyślała. A Cole spadek.

Otworzyła torebkę. Może pewnego dnia się ożeni? Może jakaś piękna panna młoda obdarzy go ślicznym potomstwem i będzie mógł przekazać dalej rodzinną tradycję?

Powinna być szczęśliwa. Ale nie mogła.

- Prawdziwa? - spytał, kiedy podała mu szkatułkę. Popatrzyła nań bez słowa.

- Wiesz, że jeśli nie jest, znajdę cię.

- Powiedz babci... - Zawiesiła torebkę na ramieniu. - Powiedz babci, że jest mi bardzo przykro.

Jego spojrzenie zrobiło się lodowato zimne.

- Ani myślę - warknął.

Aż się skuliła.

Straciła „Piorun”. Straciła Cole'a.

Poczuła na duszy olbrzymi ciężar.

Poszukała wzrokiem jego twarzy, ale nie znalazła tam ani cienia współczucia czy wybaczenia.

Zamrugnęła gwałtownie i odwróciła głowę. Podeszła do krawężnika i uniosła rękę, by przywołać taksówkę.

Cole jej nie zawołał, a ona się nie obejrzała.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cole zatrzymał auto na szerokim podjeździe przed domem babci. Kwiaty wciąż kwitły, stajnie stały na swoim miejscu, a na łąkach pasły się konie.

Odbył długą podróż przez niebo do piekła, by znów się znaleźć w domu. A teraz z trudem przywołał na twarz uśmiech, choć przywoził dobre wieści.

W kieszeni na piersi czuł ucisk puzderka.

Wysiadł z samochodu. Zrobił pogodną minę... Nikt nie musiał wiedzieć, co przeszedł w ostatnich czterech dniach. Ważne było tylko to, że przywiózł broszę.

Zdrada Sydney i jego łatwowierność niech pozostaną tajemnicą.

Niemal wbiegł po schodach.

- Babciu? - zawołał.

Pojawiła się w korytarzu, wycierając ręce w kuchenną ściereczkę.

- Słyszałam twój samochód. Masz jakieś nowiny?

Zmusił się do szerokiego uśmiechu i wyciągnął kasetkę.

- Mam wspaniałą wiadomość. Znalazłem ją.

Przez moment wpatrywała się weń intensywnie.

- Wszystko w porządku? - spytała po chwili.

Nie takiej reakcji oczekiwał. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Oczywiście, że wszystko w porządku. Odzyskaliśmy „Piorun”. -
Wyciągnął ku niej rękę z puzderkiem.

Sięgnęła po nie drżącą ręką. W jej oczach zalśniły łzy. Otworzyła ostrożnie i przyglądała się długo.

- Gdzie jest Sydney? - spytała.

Cole odetchnął głęboko.

- Jest w Nowym Jorku.

Babcia znieruchomiała.

- Dlaczego? Czemu nie przyjechała?

- Miała coś do załatwienia.

-Co?

- Babciu...

- Co miała do załatwienia? Cole'u Nathanielu? To przecież jej sukces.

Jej osiągnięcie.

Cole zacisnął zęby.

- Musi tu być, świętować razem z nami.

- Babciu.

- Przestań już z tą babcią. - Zatrzasnęła wieczko.

- Ona odeszła.

- Coś ty zrobił?

- Sydney nie jest naszą przyjaciółką. - Starał się powiedzieć to możliwie jak najłagodniej.

- Co ty opowiadasz? Przecież się z nią żenisz.

Cole nerwowo przecesał włosy palcami. Zapraagnął uciec jak najdalej.

- Nie - sprostował. - Nie żenię się z nią.

- Ależ tak. Żenisz się - powiedziała babcia stanowczo. - Nie pozwolę ci stracić takiej dziewczyny. Czas najwyższy dorosnąć, Cole'u. Czas najwyższy wziąć na siebie odpowiedzialność.

- Ożenię się z inną. Obiecuję.

Babcia potrząsnęła głową. Wydeła policzki. Cole wykonał kilka uspokajających oddechów. Im prędzej wyrzuci to z siebie, tym lepiej.

- Wolałbym nie musieć ci tego mówić, babciu - wyznał.

- Czego? Co zrobiłeś tej cudownej dziewczynie?

- Ta cudowna dziewczyna próbowała ukraść „Piorun”.

- Nieprawda.

Wspaniale. Babcia mu nie wierzy.

- Przyłapałem ją na gorącym uczynku.

- Niemożliwe. - Babcia machnęła lekceważąco ręką.

- Ona jest obca, babciu. Nie możesz jej tak ślepo ufać. -Jak ja jej ufałem, pomyślał. Uwiodła go słodkim uśmiechem i namiętym głosem. Tak to bywa, gdy człowiek pozwoli emocjom przyćmić rozsądek.

- Być może ona jest obca dla ciebie, Cole'u, ale ja znam ją dobrze. Ona z pewnością nas nie zdradziła.

Sydney była naprawdę dobrą oszustką. Miała niewiarygodny talent. Najprawdopodobniej stale nabierała ludzi. Razem z tym swoim partnerem, Bradleyem Slanderem.

- Nie znasz jej przecież.

- Przywieź ją tutaj.

Cole aż zaniemówił na moment.

- Nie ma mowy - zachnął się. - Babciu, zostawiła mnie w hotelu, żeby potajemnie dobić targu.

- Jestem pewna, że potrafi to wszystko bez trudu logicznie wytłumaczyć.

- O, tak! Wytłumaczenie jest bardzo logiczne. Chciała ukraść nam „Piorun”.

Babcia niecierpliwie machnęła ręką.

- Czekałem pięć godzin. W końcu wyjąłem z kosza na śmieci kartkę, na której był odcisnięty adres. Pojechałem tam za nią i przyłapałem ją i jej partnera, kiedy przekupywali czarnorynkowego handlarza.

Babcia zbladła jak ściana.

Zrobiło mu się jej żal, ale musiał dokończyć. Sydney była zła i przewrotna. Była złodziejką.

- Widziałem ich przez okno. Całą trójkę.

- Cole. - Głos babci przeszedł w chrapliwy szept.

- Bardzo mi przykro, babciu. - Nikt bardziej niż on nie chciałby, żeby sprawy potoczyły się inaczej. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety takiej jak Sydney. Nawet teraz, po tym wszystkim, co mu zrobiła, wciąż pamiętał jej śmiech, jej delikatne pieszczoty i szmaragdowe oczy.

Babcia patrzyła nań w skupieniu. Zastanawiała się. Wahala. W końcu skrzyżowała ramiona.

- Usiądź, Cole'u. Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Cole siedział sztywno na kanapie. Z rosnącym zdumieniem słuchał wyznań babci. Jego dziadek? Babcia?!

Kiedy doszła do tego, że opowiedziała o wszystkim Sydney, zerwał się i zaczął krążyć po pokoju.

Z każdym słowem babci, z każdą mijającą sekundą czuł zaciskającą się coraz mocniej na jego sercu lodowatą obręcz.

Nie obwinał babci, nie oskarżał Sydney. Miał tylko wielki żal do dziadka. I do siebie. To do nich przecież należała ochrona rodziny.

- Odkupiła ją od twojego przyszywanego wuja - zakończyła babcia. - A tobie niczego nie wyjaśniła, ponieważ ja na niej wymusiłam dochowanie tajemnicy. I dotrzymała słowa, Cole'u. Pozwoliła ci się znienawidzić, ale nie zdradziła mojej tajemnicy.

Cole zatrzymał się przed kominkiem i posłał złe spojrzenie w stronę fotografii dziadka. Dziadek się uśmiechał. Uśmiechał się!

Cole uderzył pięścią w ścianę.

- Czy coś przegapiłem? - usłyszeli głos Kyle'a. W pokoju zapanowała głucha cisza.

- Cole i Sydney się posprzeczali - wyjaśniła babcia.

- Kiedy byłeś z Melanie, nigdy nie waliłeś w ścianę - zauważył Kyle.

Cole nie odrywał oczu od podobizny dziadka. Całe jego wnętrze zamieniało się w kamień. W piersi czuł gorący ucisk. W ustach mu zaschło.

Był tak samo zły jak ten starzec.

Przegrał.

Powinien teraz klęczeć przed Sydney i gorąco jej dziękować.

Wykonała za niego zadanie.

- Cole? - Głos Kyle'a dolatywał do niego jakby z zaświatów. - Są jakieś wieści o „Piorunie”?

- Jest tutaj. - Babcia pokazała puzderko.

- Czyli to koniec? - spytał Kyle. - Czy stało się coś złego?

Coś złego? Wszystko.

Tuż pod jego boki urósł kryzys rodzinny, a on nawet tego nie zauważył. A do tego zniszczył kobietę swoich marzeń. Wróciła do Nowego Jorku, żeby odwołać wystawę o wikingach i zrujnować swoją karierę. Nie zasługiwała na to.

Przypomniał sobie wszystkie oskarżenia, które cisnął jej w twarz, i skrzywił się boleśnie. Zagroził jej nawet aresztem, a ona nie zaprotestowała ani jednym słowem. Do końca strzegła tajemnicy babci.

- Cole? - powtórzył Kyle już mniej wesołym tonem.

Cole nie zwrócił na niego uwagi. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy babci.

- Nie wiem co mam robić - powiedział z rozpaczą w głosie.

- Daj jej „Piorun”.

Potrząsnął głową. Było już za późno. Sydney likwidowała już wystawę i już nigdy się do niego nie odezwie.

- Myślałem, że się z nią żenisz. - Kyle niepewnie wodził wzrokiem od brata do babci.

- Pokłócili się - wyjaśniła babcia. - Wsiadaj do najbliższego samolotu, Cole'u. Jedź do Nowego Jorku i napraw wszystko.

- Nie mogę tego naprawić.

- Owszem, możesz.

Naprawdę? Miał jeszcze szansę?

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

- Co tu się, do diabła, dzieje?! - rzucił Kyle.

Cole bez słowa minął go pospiesznie. Babcia może mu wszystko wyjaśnić, pomyślał. On ma coś do zrobienia. Niemal biegiem dopadł samochodu.

Sydney siedziała w pokoiku na antresoli Muzeum Laurenta. Było jej zimno.

- Kochasz go, prawda? - spytała Gwen.

Sydney zamknęła oczy i pokiwała głową.

- Nie mogłam mu nic powiedzieć. A wtedy pojawił się Bradley...

- To przez Bradleya Cole uważa, że chciałaś ukraść broszkę?

Sydney znów pokiwała głową. Wciąż nie potrafiła pojąć, jak w takim wielkim mieście jak Miami Cole ją odnalazł.

Gdyby na nią czekał w hotelu, opowiedziałaby mu jakąś historyjkę, a kiedy dałaby mu „Piorun”, wiedziałby, że jest po jego stronie.

Gdyby. Gdyby.

Jęknęła głucho.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć ci więcej.

- Hej. - Gwen uśmiechnęła się smutno. - Wszystko w porządku. Nie muszę wiedzieć. Ale co powiesz szefowi? Jest wściekły. Tyle mu obiecałyśmy. Ty i ja...

- Że nie chcieli mi jej wypożyczyć. - Wzruszyła ramionami. Co za różnica? Jej kariera i tak była już skończona.

Sydney złamała podstawową zasadę. Dała obietnicę bez pokrycia. Ale zaufała Cole'owi.

Jak się okazało, niesłusznie. Chociaż właściwie nie była to jego wina. To ona odpowiadała za wszystko, co się stało.

- Może uda się zastąpić „Piorun” - spekulowała Gwen. - Wystawimy któryś z tych rubinowych naszyjników.

- Nikogo to nie zainteresuje. To musi być coś nowego. Coś niezwykłego.

- To niesprawiedliwe, że na ciebie spada cała wina.

- Coś ci powiem. - Sydney zaśmiała się ponuro. - Życie w ogóle nie jest sprawiedliwe.

Chociaż powinna się bardziej przejmować zrujnowaną karierą, wciąż myślała tylko o tym, że straciła Cole'a.

Ilekcroć zamykała oczy, widziała go w pokoju hotelowym w Miami... Jego pełne współczucia oczy, kiedy opowiadała o niani Emmie i papie Halu. Blask jego źrenic, kiedy karmił ją truskawkami. I mgielkę pożądania, gdy się schylał, żeby ją pocałować.

Dość. Dostyc tych rozmy...

- Proszę o uwagę - usłyszała głos, który nieustannie dźwięczał w jej duszy. - Oto dowód mojego zaufania.

Gwen zrobiła wielkie oczy. Sydney zakręciła się na pięcie. To był Cole. Stał oparty niedbale o framugę.

- To ja już... - Gwen przecisnęła się obok Cole'a i wybiegła.

Sydney mrugała gwałtownie. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co widziała.

- Pięć godzin czekałem w tamtym pokoju hotelowym -wypomniał jej. - Pięć godzin zajęło mi przekonanie samego siebie, że mnie zdradziłaś.

- Co ty tu robisz?

Dlaczego to robił? To był autentyczny „Piorun”. Czemu ją torturował? Podszedł bliżej.

- Babcia mi powiedziała.

- Co ci powiedziała?

- Całą prawdę.

Sydney potrząsnęła głową. Niemożliwe. Przecież nie zdradziłaby swojego sekretu, odzyskawszy broszę. Oparła się o biurko.

- Nie - szepnęła.

- Tak. - Kiwnął głową. - Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, Sydney?

Co za pytanie?!

- Dałam słowo. Przysięgam.

- Mogłem ci pomóc.

- To przed tobą chciała to ukryć.

- To była moja sprawa - krzyknął. - Moja odpowiedzialność.

Sydney zadrżała. Chciałaby umieć mu pomóc. Musiał to być straszny cios dla jego dumy.

- Przepraszam. - Palcami przeczesał włosy.

- Nic się nie stało. Wiem, że jesteś zdenerwowany.

Stanął tuż przed nią.

- Nie przepraszam za to, że krzyczałem. To znaczy, tak, za to też przepraszam. - Urwał na moment. - Naprawdę przepraszam, że przestałem ci ufać. Przepraszam, że tak obrzydliwie cię potraktowałem. Przepraszam, że my... - Odwrócił wzrok.

- Tak? Cóż. Za to i ja przepraszam - powiedziała. Oboje igrali z ogniem i się poparzyli. - Po co przyjechałeś?

Znieruchomiał.

- Przyjechałem, żeby ci ofiarować „Piorun”.

Nagle wyszło jej w gardle.

- Nie możesz tego zrobić - wychrypiała.

- Owszem, mogę.

-Ale...

Wziął ją za rękę.

- To są oświadczyzny, Sydney.

Jej serce się zatrzymało. Oświadczyzny?

- Jak to sobie wyobrażasz? - spytała. Nie śmiała nawet pomyśleć, że to może być prawda.

- Tak, jak to planowaliśmy. Wystawisz „Piorun”, a potem... - Spuścił oczy.

Poczuła cień nadziei.

- Małżeństwo na niby, Cole?

Pokiwał głową.

- Tak. Tylko taka może być odpowiedź.

Początkowo też tak uważała. Ale się myliła. Jediną odpowiedzią był Cole kochający ją szczerze. Cole, który ożeniłby się z nią na resztę życia.

Kiedyś ją zapytał, czy jest gotowa pójść z nim do ołtarza w białej sukni, przyrzec mu miłość, pocałować go i rzucić bukiet... A potem odejść i pójść swoją drogą.

Wtedy była na to gotowa. Teraz już nie.

- Myślę, że to jednak nie jest dobra odpowiedź - stwierdziła, chociaż serce ścisnął jej żal.

- Zapracowałam na to.

Zasłoniła usta dłonią, żeby nie parsknąć gorzkim śmiechem.

- Okłamując cię? Śpiąc z tobą?

- Przestań!

Potrząsnęła głową.

- Dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam.

W tych okolicznościach i tak nie mogłaby wystawić „Pioruna” w muzeum. Już nawet nie była pewna, czyby chciała. Brosza znalazła się tam, gdzie powinna być. W sejfie babci. Albo Cole'a. A pewnego dnia znajdzie się w sejfie jego prawdziwej żony.

- Nie przyjmuję do wiadomości odmowy - odrzekł. - To dla ciebie jej szukaliśmy i dzięki tobie ją znaleźliśmy. Ty byłaś przy babci, kiedy mnie nie mogła zaufać...

- Och, Cole! - Zrobiło jej się go żal. - To nie była kwestia zaufania. Była nieprawdopodobnie zawstydzona. Ja jestem obca. Moja opinia była jej obojętna. Twoja nie.

- Ja to inaczej widzę.

- Pomyśl rozsądnie.

- Właśnie to robię. Chcę, żebyś za mnie wyszła. Chcę też, żebyś odniosła sukces zawodowy i wystawiła broszkę w muzeum. Tyle mogę ci dać, żeby naprawić...

- Nie chcę tego - powiedziała, chociaż dusza jej łkała. Czy myślał, że da się tak po prostu wymazać minione dwa tygodnie? Pokazał jej księżyc i gwiazdy, a teraz chce to zabrać.

Pokazał jej, jak bardzo potrafi kochać swoją rodzinę i jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby ją pokochał.

- Kłamiesz.

- Odpowiedź brzmi: nie.

- Złamiesz babci serce.

- To był cios poniżej pasa.

- Jeszcze nie wiesz, na co mnie stać. - Zaciśnął zęby. - Wyjdź za mnie albo się przekonasz, co to jest brudna gra.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Tak? To pokaż, co potrafisz.

- Zadzwoń do Bradleya.

Aż się cofnęła z przerażenia.

- Jestem pewien, że ma nawet kilka pomysłów na wystawienie „Pioruna”.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Cole. Nie. Nie wiesz, co on...

- Zrobię to. Albo za mnie wyjdiesz, albo ubiję interes z Bradleyem.

- Blefujesz.

-Nie.

- To jest zły człowiek.

- Więc wyjdź za mnie.

-Nie.

Rozłożył szeroko ręce.

- Nie proszę, żebyś rzuciła to wszystko. Chcę tylko, żebyś spędziła ze mną godzinę lub dwie. Pocałowała mnie, udawała podczas przyjęcia, że mnie lubisz. A potem pójdziemy, każde w swoją stronę... Ty znajdziesz mnóstwo powodów, żeby być w Nowym Jorku, a ja znajdę powody, żeby zostać na ranchu. A po jakimś czasie powiemy wszystkim, że nam się nie udało.

- Czy można sobie wyobrazić mniej romantyczne oświadczenia? - Patrzył na nią bez słowa. - Mówię poważnie. Czy jest coś jeszcze, co mógłbyś dodać, żeby dziewczyna poczuła się mniej pożądaną?

Patrzył twardo prosto w jej oczy.

- Nigdy nie mogłaś wątpić w moje pożądanie.

Jakże chciałyby przytaknąć. Spędzić z nim prawdziwy miesiąc miodowy. Ale nie mogła. To kompletnie złamałoby jej serce.

- Myślisz o tym - powiedział. - Wiem, że o tym myślisz. Zgódź się, Sydney. Możesz to zrobić.

Mogła?

Gdyby odłożyła na bok swoje uczucia do Cole'a i skupiła się na czymś innym... Na swojej karierze. Przynajmniej miałyby tę satysfakcję, że pokrzyżowałyby plany Bradleyowi.

Próbowała wyczytać coś w jego oczach.

- Zgoda - powiedziała w końcu. - Wyjdę za ciebie.

-Tak?

- Tak. W końcu jestem profesjonalistką.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minęły dwa tygodnie. Sydney coraz poważniej się zastanawiała, czy jej decyzja była słuszna. Ale w Muzeum Laurenta przygotowania do wystawy szły pełną parą. Babcia właśnie przypięła „Piorun” do jej sukni ślubnej, a ona sama powiedziała sakramentalne „tak”.

W nowiutkiej stodole oczy wszystkich zebranych skierowane były na młodą parę. Niewielka orkiestra zagrała walca i Cole wziął ją w ramiona.

- Uspokój się - szepnął jej do ucha.

- Staram się.

- Pomyśl o „Piorunie”. Będiesz bardzo sławna.

- Już jestem. Odniosłam sukces. - Połykając łzy, zmusiła się do śmiechu.

Czuła na plecach jego dłoń. Delikatne muśnięcia rozpałały jej skórę. Nieświadomie przytuliła się do niego. Objął ją mocniej.

- Przypominasz sobie? - szepnął.

- Nie - skłamała.

Pochylił głowę jeszcze niżej i kiedy się odezwał, poczuła na uchu ciepło jego oddechu.

- Ja pamiętam,

- Przestań. - Starła się odegnać wspomnienia.

- Nieważne, co się stało - usłyszała. - Nieważne, co powiedziałem, co zrobiłem. Chcę, żebyś wiedziała, że przewróciłaś cały mój świat.

- Cole - jęknęła.

- Już do końca życia będę widział ciebie w łóżku, z ustami o smaku truskawek, z włosami rozsypanymi w nieładzie, słuchającą moich zwierzeń.

- Proszę, przestań.
- Tak mi przykro, Sydney.
- To nie twoja wina.

Przytulił ją mocniej.

- Twoja też na pewno nie - zapewnił.
- Może nasza?
- Może to wina okoliczności.
- Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? - Odważyła się spojrzeć mu w twarz.

Między nimi wszystko było już skończone. Szansa przepadła. Cole był dla niej tylko biletem do „Pioruna”. I chociaż nie mogła mu tego powiedzieć, był także najwspanialszym kochankiem.

- Nie chcę, żeby sprawy między nami zostały niewyjaśnione.
- Wszystko już wyjaśniliśmy.
- Nie, nieprawda.
- Co jest jeszcze do wyjaśniania? Przeprosiłam cię za wszystkie kłamstwa.
- Nie o to mi chodzi.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Pocałunkiem długim i zmysłowym.

Niedorzeczna nadzieja rozgrzała jej serce. Odepchnęła go.

- Dwieście osób na nas patrzy - syknęła.
- Szczęściarze.
- Cole!
- Powiedz tylko, że mi wybaczasz.
- Co?

Zaśmiał się cicho.

- Właśnie.

- Poważnie, Cole. Co?

Patrzył jej prosto w oczy.

Orkiestra skończyła grać i goście zaczęli bić brawo. Tuż obok Cole'a pojawił się Kyle.

- To było świetne - pochwalił.

Ze stojącego w kącie nowej stodoły barku Cole wyjął lodowate piwo.

Obraził Sydney i pragnął, by mu to wybaczyła. Groził jej aresztem, to też powinna mu wybaczyć. A przede wszystkim chciał, by mu wybaczyła, że się od razu nie zorientował, że była najwspanialszą kobietą na świecie.

Osobiście wybrał rzewną i naiwną piosenkę, którą przed chwilą wykonała orkiestra, bo liczył, że stanie się cud i Sydney odczyta jego myśli.

Nie udało się.

Nieuważnie wysłuchał życzeń od sąsiadów. Myślami był gdzie indziej. Wciąż wodził oczami za Sydney tańczącą z Kyle'em.

Orkiestra skończyła grać. Tłumek gości kłębił się wokół Sydney. Nagle wśród otaczających ją osób dostrzegł obcego mężczyznę. Nie znał tego człowieka, ale coś wzbudziło jego niepokój.

Pomału ruszył w ich stronę.

Kiedy podszedł bliżej, rozpoznał Bradleya Slandera.

Zaklął pod nosem. Przyspieszył kroku. Niezbyt elegancko przepchnął się przez tańczących. Nie widział twarzy Sydney, ale Bradley stał stanowczo zbyt blisko niej.

Po kilku krokach usłyszał nieprzyjazny głos Bradleya.

- ...i zastanawiam się, jak się teraz czujesz, gdy musiałaś się zezmacić dla tej broszy.

Sydney zrobiła krok w tył, a w Cole'u zawrzało. Przebiegł kilka ostatnich kroków, chwycił Slandera za kołnierz i pchnął go na ścianę.

Przycisnął go do drewnianych belek, nos w nos. Wbił mu łokieć w mostek.

- Nie wiem, jak to się robi w Nowym Jorku - warknął Cole. - Ale tutaj jest Teksas. I masz tylko dwa wyjścia: albo natychmiast przeprosisz moją żonę i wyniesiesz się z mojej ziemi, albo wyrwę ci jaja i rzucę psom.

Slander poruszył ustami, ale wydobył się z nich tylko nieartykułowany dźwięk.

- Cole?! - krzyknął Kyle ostrzegawczo.

Ku przestrodze Cole powinien rozkwasić Slanderowi nos, ale i tak poświęcił mu już zbyt wiele czasu. Pchnął go więc w stronę drzwi i ruszył do Sydney.

Stała kilka kroków dalej nieruchoma jak skała.

Cole chwycił ją w ramiona, przytulił do piersi i odprowadził na bok, z dala od zdziwionych gości.

Dygotała.

Na szczęście orkiestra nie dostrzegła niczego i grała dalej. Poprowadził ją na parkiet, między tańczących.

Odwróciła spojrzenie ku drzwiom, przez które Kyle wyprowadzał Slandera.

Cole obrócił ją tak, żeby nie patrzyła w tamtą stronę.

- On... - Głos jej drżał.

- Przesyła ci przeprosiny - powiedział Cole.

Zachwiała się i wsparła mocniej na jego ramieniu.

- Już wszystko dobrze - szepnął. Poglaskał ją po plecach. - Uspokój się. Już po wszystkim. Po prostu tańcz ze mną.

Potrząsnęła głową.

- Powiedział to, co myślą wszyscy dookoła.

- Nieprawda.

- Że wyszłam za ciebie dla broszy.

- Wszyscy uważają, że jesteś śliczną panną młodą.

- Zastanawiają się, czemu się zgodziłeś na ten ślub. Uważają, że jestem chciwa.

- Nieprawda.

- Katie też tak uważa.

Uniósł jej brodę.

- Może kiedyś przez chwilę tak myślała. Ale potem poznała cię lepiej.

Wie, że nie jesteś chciwa.

- Ale jestem.

Tyle było bólu w jej głosie, że serce Cole'a się ścisnęło.

- Oboje znamy prawdę i tylko to się liczy.

Znowu pokręciła głową.

- Przestań. - Pocałował ją w czoło. - Przestań.

- Ale przecież nie znamy.

- Czego nie znamy?

Wbiła w niego pełne łez spojrzenie.

- Ty nie znasz prawdy.

Zmrużył oczy.

- Prawda jest taka, że nie wyszłam za ciebie z powodu broszy.

Mróz przebiegł mu po kościach. Nie był gotów na jej kolejne oszustwo. Nie teraz. Nie tutaj.

Przygryzła wargę. Odetchnęła głęboko.

- Wyszłam za ciebie, bo cię kocham.

Nie powinna była tego mówić. To były tylko jego nierealne marzenia.

- Powtórz to - wychrypiał.

- Kocham cię, Cole.

Ścisnął ją mocno.

- Och, Sydney. Ja cię kocham od... - Odsunął kosmyk z jej czoła. -
Chyba od zawsze.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Pocałował ją w czubek głowy. Westchnęła cichutko i
przytuliła się do niego.

- Och, Cole.

- Wiem.

- Jesteśmy małżeństwem.

- Tego właśnie pragnąłem. Na całe życie.

- Złożyłam ci przysięgę.

- Będę cię kochał - szeptał. - Będę cię miłował, szanował i dbał o
ciebie.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy - dokończyła. Wzięła go za rękę i
splotła palce z jego palcami.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy - powtórzył z powagą. Zapach
weselnych róż wypełniał stodołę, aż kręciło w nosie.

- Chyba teraz zaczniemy budować ten dom - powiedział Cole. Całował
ją raz za razem.

- Z wieżyczką i oknami w dachu. - Westchnęła. - A w kuchni bufet i
wysokie stołki z półokrągłymi oparciami.

Zachichotał.

- Skoro mam zostać patriarchą, będę potrzebował dużego domu.

- Patriarchą?

- Właśnie.

- O, wspaniale! Wobec tego już możesz zacząć stanowić nowe reguły, prawda?

- Prawda. Zaraz doprowadzę tę rodzinę do porządku.

- Kyle nigdy nie dostanie tej ziemi.

- Wiem o tym. - Cole uśmiechnął się radośnie.

- Co masz na myśli?

- Zapisałem wszystko jego dzieciom.

- Jesteś strasznie przebiegły.

- Jestem. Ale kochasz mnie, prawda?

- Kocham cię.

- Powiedz to jeszcze raz.

Odsunęła się nieco i wzięła w dłonie jego twarz.

- Kocham cię, Cole'u Ericksonie.

Westchnął z zadowoleniem. Mógłby słuchać tego przez całą noc.

- Czy jest coś, co ty byś chciał mi powiedzieć? - spytała.

Pocałował ją.

- Hmm. Niech pomyślę.

Szturchnęła go łokciem w żebra.

- Kocham cię, Sydney... Erickson.

Spoważniała.

- Chyba nie rozmawialiśmy dotąd o nazwiskach, prawda? - zauważył.

Nie zamierzał nalegać.

- Sydney Erickson - powtórzyła. - Chyba mi się podoba.

- Uśmiechnęła się szeroko.

Cole pokraśniał z zadowolenia i znów obsypał ją pocałunkami. Pomyślał, że przed nimi jest prawdziwy miesiąc miodowy. Chciałby ukryć się na tydzień gdzieś w górach Montany. Ale będzie tak, jak ona zechce.

- Hej, Cole! - Obok Kyle tańczył z Katie.

Cole kiwnął głową i mocniej przycisnął do siebie Sydney.

- Kim był tamten gość? - spytała Katie.

- Sęp z rynku dzieł sztuki - rzuciła Sydney.

- Już na pewno nigdy tu nie wróci - stwierdził Kyle.

Cole podziękował mu skinieniem głowy. Powinien był rozkwasić Slanderowi nos, ale wtedy szeryf mógłby go zamknąć na noc poślubną do aresztu.

- Myślę, że powinniście wiedzieć - powiedziała Katie. - Ślub podziałał.

- Oczywiście - odparł Cole. Ciekawe, skąd ona o tym wie, pomyślał. I pocałował Sydney w głowę.

- To będzie w kwietniu - ciągnęła Katie.

Sydney pisnęła głośno i wyrwała się z ramion Cole'a.

- Co? - spytał Cole.

- Nowy mały Erickson - odparł Kyle z dumnym uśmiechem.

Cole wydał okrzyk radości. Poklepał brata po plecach.

- Fantastycznie! Gratulacje, braciszku.

- Dzięki.

- Możemy teraz porozmawiać o podziale ziemi? - spytał Cole.

- Nie - odparł Kyle stanowczo.

Cole uśmiechnął się szatańsko.

- Tym razem to ja wygram - chełpił się. Ktoś poklepał go po ramieniu. Odwrócił się.

- Witaj, babciu. - Ciaśniej otoczył ramieniem Sydney. - Podoba ci się przyjęcie?

- Wiesz, że tak - odparła. - Mam coś dla Sydney.

- Dla mnie? - zdziwiła się Sydney.

- Chodźcie. - Babcia mrugnęła tajemniczo. - Oboje.

Poprowadziła ich przez tłum gości, obok orkiestry, w odległy kąt. Cole cały czas trzymał Sydney za rękę. Uśmiechali się do siebie. Nie mogli się doczekać, kiedy zostaną sami. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Babcia zatrzymała się przy stojącym pod ścianą stole. Wyjęła coś z papierowej torby i odwróciła się do Sydney z poważnym wyrazem twarzy.

- Sydney Erickson - zaczęła.

Cole ścisnął dłoń żony.

- Mam zaszczyt - ciągnęła - przekazać w twoje ręce kronikę „Pioruna Północy”. - Podała Sydney wielką, oprawną w skórę księgę.

Sydney aż się ugięła pod ciężarem woluminu. Spoglądała na nią ogromnymi oczami.

Cole mrugał zaskoczony. Nawet nie wiedział o istnieniu tej księgi.

- Została przetłumaczona na początku osiemnastego wieku - powiedziała babcia. - Nie mam pojęcia, czy pochodzi z pisanego źródła, czy też Sigrid spisał opowiedziane historie. W każdym razie to wszystko tutaj jest. Dzieje i przygody „Pioruna”.

Sydney gładziła wytłaczaną oprawę kroniki.

- To coś niewiarygodnego - wyszeptała. - Ona jest bezcenna.

Babcia uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- A teraz twoja kolej, by kontynuować sagę. Sydney otworzyła usta ze zdumienia.

- Myślę, że powinnaś zacząć od opisanie ostatniej przygody „Pioruna”.

- Jesteś pewna? - spytała Sydney. - Całej przygody?

- Tak. Całej przygody. Pamiętnik musi być prawdziwy.

Cole uściskał mocno drobną postać babci.

- Dziękuję, babciu - powiedział.

Uśmiechnęła się.

- Za wszystko - dodał.

- Miałam rację w sprawie Sydney, prawda?

- Całkowicie.

- To dobrze. No cóż, zostawię was teraz samych.

- Nie mogę uwierzyć. - Sydney nie potrafiła ukryć ekscytacji.

- Nie mogła trafić w lepsze ręce. - Cole z każdą sekundą kochał ją coraz bardziej.

Przycisnęła księgę do piersi.

- Nigdy nie myślałam, że to się stanie - wyszeptała. - Ale zrobiłeś to.

- Co zrobiłem? Zakochałem się w tobie?

- To też. - Pogłaskała go po policzku. - Chodziło mi o to, że odnalazłeś mój srebrny medalion.

- „Piorun”. - Spojrzał na przypiętą do jej sukni broszę.

- Nie. Nie chodzi mi o biżuterię. - Uśmiechnęła się. - Nigdy mi na tym nie zależało.

- A więc...

- Dziedzictwo. Dom. W końcu zrozumiałam. - Objęła go. - Szukałam rodziny, której nigdy nie miałam. A ty mi to dałeś.

Radość przepełniła mu duszę.

- Witaj w domu, Sydney - wyszeptał. - Bardzo długo na ciebie czekaliśmy.